

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES
POLONAISES
HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK I. — NR. 2. — PARYŻ,
NIEDZIELA, 24 MARCA 1940.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,

52, avenue des Champs-Élysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.

Kodzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto w Banku Polskiej Kasy
Opieki (23, r. Taitbout) nr. 72.

Ogłoszenia w tekście wiersz
petitowy: 20 fr., za tekstem: 15 fr.

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. 35 fr., półroc. 65 fr., rocz. 125 fr.
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglii 6 s. 6 d.; w Belgii — 8 belgów, w Danii, Norwegii i Szwecji — 7 koron, w Holandii — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 45 piastrow, w Rumunii — 400 lei, w Szwajcarii — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengő, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

Juljan Tuwim

GAWĘDA RYMOWANA

o ojcu i synu,
o dwóch miastach
i o starej piosence

W mieście Łodzi, czterdzieści lat temu,
Pewien ojciec synkowi matemu
Miasto Paryż rysował na stole.
Najpierw rzeki szerokie półkole
Na serwecie paznokciem zataczał,
Wyżej, krążkiem, Etoile naznaczał
I wokół kreskę. Tę kreskę się szło
Na róg rue Tilsitt i avenue Carnot.
Tutaj mieszkał. Stąd spacer zaczynał.
I prowadził wpatrzonego syna
Przez wybrzeża, bulwary i place,
Pokazywał kościoły, patace,
Tu Notre-Dame, tu Concorde, Invalides,
Tu Montmartre... Ale czas do spoczynku.
W Łodzi wieczór, w Paryżu już świt.
Więc na rogu Carnot i Tilsitt
Zatrzymywał się. Dostyć. Spać, synku.

Ojciec kładzie na Paryżu rękę
I palcami bębniąc, po nim chodzi.
Chodząc, śpiewa pewną starą piosenkę,
Którą przywiózł z Paryża do Łodzi.
Syn zasypia. Po obrusie sen się wieje,
W obcych słowach płacze się i rwie:
„Allons enfants de la patrie,
Le jour de gloire est arrivé”...
Słońce lampy naftowej w Sekwanie
Złotym słupem uderzyło w dno...
Tutaj będziesz na mnie czekał, kochanie,
Tu, na rogu Tilsitt i Carnot.

Tak zestarzał się ojciec, dumając,
Pośpiwując, «Figaro» czytając,
Zajadając pieczone kasztany
Na obrusie z półkolem Sekwany.
Jakby czekał na wizytę wróżki,
Co na skrzydłach zaniesie go w dal.
Z miasta Łodzi, z alei Kościuszki,
Na Tilsitt i Carnot, przy Etoile.
A syn stał się poetą, gdy podrośł,
Coraz częściej w niebo wznosił oczy,
Aż na łódzki czarodziejski obrus
Siadł, jak w bajce, i na Paryż zeskoczył.
I odrązu — za łódzkim staruszkim —
W kręty ulic labirynt, jak w mił.
Wtedy w Łodzi, na alei Kościuszki,
Ojciec był przy Carnot i Tilsitt.

W mieście Łodzi, pod majowem niebem,
Pewien syn szedł za ojca pogrzebem.
Jak komandor kamienny, jak pomnik,
Kroczył hardy, rozpaczliwie przytomny.
W blaskach stawy, koniaku i słońca.
Syn do domu odprowadza ojca.
Lecz i pieśń szałęncowi potrzebna,
Zeby godnie rodzica pożegnał,
Więc z uśmiechem, w radosnej żalobie,
Syn zaczyna głucho nucić w sobie:
O dzieciństwie, którym dotąd żyje,
O tęsknocie, co go w przeszłość zwie,
I wspomina syn — i milcząc wyje:
„Allons enfants de la patrie,
Le jour de gloire est arrivé”...
Jeśli zgrzeszył przeciw ludziod i Bogu,
Jeśli to świętokradstwo i wstyd,
To wybaczenie mu, bo to było znowu
Nad tą starą serwetą, na rogu
Avenue Carnot i Tilsitt.

Szkoda, ojeze, mój przyszły sąsiadzie,
Ze już nigdy do Paryża nie przyjedziesz.
Ale syn do polskiej Łodzi wróci —
I z alei Kościuszki, co dziś wie się
„Hermann Göringstrasse” — syn przyniesie
Więść na grób — i „Marsyljanek” zanuci.

JULJAN TUWIM.

Jan Lechoń

TRADYCJA I NOWOŚĆ W LITERATURZE POLSKIEJ*)

Byłoby to zbyt mało powiedzieć, że zabierając po raz pierwszy głos, aby mówić o naszym piśmiennictwie wobec rodaków, zgromadzonych w tej właśnie chwili i w tej właśnie sali — jestem głęboko przejęty i że czuję całą wagę ciężkiego na mnie zadania. Ktokolwiek bowiem z nas, nie powiem: w pełni zrozumiał, ale pojął cokolwiek z istoty wypadków, które przyniosły tu naszą nową emigrację, nie może mieć innego pragnienia, innej myśli, niż aby na najlepszą miarę swoich sił podjąć wysiłek, któryby choć w znikomej części odpowiadał wysiłkowi naszych rodaków w kraju. To pragnienie, które musi towarzyszyć każdej podejmowanej tu przez nas pracy, jakże jest gorące, jak bardzo żywe, gdy przychodzi nam dotknąć się dziedzin, w istocie swej będącej miarą i obrazem życia narodu, która przez symboliczną wymowę tak a nie inaczej zestrojonych słów, przedstawionych osób i odtworzonych obrazów, wypowiada charakter narodu, jego najgłębsze dążenia, która jest historią jego duszy, a ileż razy bywa sądzoną i prokiem jego losów. Jest to właściwie historycznym zdarzeniem, wstrząśnięciem, że w ich obliczu proste prawdy, którym codzienne życie odebrało, zdawałyby się, całe ich znaczenie — stają się jakby dotykane, że życie zostaje naraz odarte ze wszystkiego co przemijające i sprowadzone do tych paru zasadniczych prawd i że przez to, umniejszone w swej różnorodności, ukazuje zarazem swą prawdziwą istotę i nieprzezwycięzalną na codzień głębię. Jedną z tych prawd, aż nazbyt spowszedniałych w codziennej deklamacji, a w tej właśnie chwili jakże wymowną — jest prawda o związku nie do rozdarcia między życiem historycznym narodu a jego piśmiennictwem, o ciągłej obecności między nami myśli i uczuć, które wypowiadali wielcy pisarze, zdolni zawrzeć w swych dziełach istotę narodowego życia.

Sale, które nas tutaj goszczą, jakże pomagają snuć się tej myśli! Zawarte w nich jest bowiem na zawsze echo głosów, które podnosiły się jeszcze przed klęską rozbiorów i podawane przez coraz wymowniejsze, bardziej wieszce usta, tutaj właśnie w Paryżu nabrały proroczej zaiste mocy. Tutaj przecież o schyłku swoich dni przewodził rodakom w radzie książę Adam, którego wspominał a po szekspirowsku złamane hamletyczne przeznaczenie natchnęło jedną z najpiękniejszych strof Słowackiego:

Kiedys ze sto was tysięcy
Było szlachty z serce i lica...
Dziś — jednym znał szlachcica.
Kraj ich cały nie znał więcej...
Jeden tylko serca męka,
Zamarami, choć nie skutkiem,
Wielkim — cichym — dumnym smutkiem,
Pełną nieadyś darów ręką,
Smętną — wziętą z nieszcześć, stawa,
Był szlachcicem — i miał prawo...

On to chowany na jakże dziwnie zgodnym z ludzkością encyklopedystów tyrańskim dworze Katarzyny, pieśniony pasterskim czułością Puław, choć słabo, ale przecież uderzał za młodych lat, w «Bardzie polskim», w ton, który później inni z nierównie większą mocą podjęli; jego też osoba pokrewieństwem albo czynami związana jest ze wszystkim co było podjęte najpierw dla odbudowy zagnaszanego za Sasów ducha, później zaś dla owego wileńskiego renesansu, który wykrył romantyzm polski. A obok niego stary Niemcewicz, założyciel i patron tego domu, którego trudno sobie wystawić inaczej niż we wzruszającym dziwnym postaci, w jakiej go opisuje Słowacki po wycie w Ursynowie, bądź jako gromiącego młodocę Prezesa z «Kordjana», ale który wówczas był naprawdę dębem niezłamanym przez żadne burze, krzepnięciem wspomnieniem jasnym dni kościuszkowskich, i który z przeżytych dni wolności zachował do śmierci duszę wolną.

Niemcewicz zostawia w tych salach echo stanisławowskiego jeszcze teatru, na którym gra się szlachetny i zarazem, rzecz rzadka, dowcipny «Powrót poła» i już tylko o znaczą myśli dbały dramat «Kazimierz Wielki», wstawiony ową premierą, rozfalowaną odgłosami zda-

*) Wykład inauguracyjny w Uniwersytecie Polskim Zagranicą, wygłoszony w Bibliotece Polskiej dn. 26 stycznia b. r.

zeń z miasta, kiedy to Stanisław August, odpowiadając na poetycką aluzję ze sceny, miał się wzruszony wychylić ze swej łoży i zakrzyknąć: «Stanie i wystawie się». Jego to głosem, zmieszany przez wiek, i gorącym, choć jeszcze pseudoklasyycznym ogniem, porzmiewają owe «Pieśni historyczne», rzewna zapowiedź późniejszej naszej romantycznej mitologii. I czyż nie jest to wreszcie jakby znak tajemniczy, wskazujący nam znaczenie naszej tu obecności, nakazujący nam wydobyc całą zawartą w niej naukę — ten fakt, tak uchodzący naszej świadomości, że podczas kiedy niema domu w Warszawie i Krakowie, który gościł Mickiewicza, ten dom jest jego domem, on tu bywał i wśród zachowanych tu po nim pamiątek — znajdując się zarówno karty jego arcydzieł jak i skrawek papieru z jego podpisem, świadczącym, że zabiegał on o składki na tę Bibliotekę.

Mickiewicz stoi właśnie pośrodku zagadnień, które będą nas tu szczególnie zajmowały, w nim właśnie zawarte jest zgodzone z niedościgną harmonią piękno i wszystkiego, co było zawsze w duszy polskiej, co było dziedzictwem historii i dawnej poezji, z największym porwytem do nowości, do przemiany; w jego poezji, w jego dziele politycznym, w jego życiu nawet zamyka się zagadka tradycji i nowości.

On zarazem stoi na przełomie między piśmiennictwem przedrozbiorowym a całą po nim literaturą polską jako nieprzezwycięzony, z obu stron nań patrząc, szczyt jej powagi, nie tylko jej patosu, jej znaczenia, jej niezbezdolności dla narodu, jej związku z narodem, jej prawdziwej polskości. Cokolwiekby się mówiło o czystości i tonu i ludzkości Kochanowskiego, o prawdziwym patosie Skargi, o roztropności i sumieniu naszych osiemnastowiecznych moralizatorów, o czarującej a niebyłajkiej filozofii, o mistrzowskiej, lapidarniej sztuce Krasickiego, czy wreszcie o niedocenionych dotąd lirycznych czystościach Karpińskiego i Książna — jest to pewne, że przed Mickiewiczem literatura polska, będąc jakże polską z cudownego języka tegoż choćby Krasickiego czy zwłaszcza Trembeckiego, z jakże polskiego temperamentu, polskich przywar i krwistości naszych fraszkarzy i pamiętnikarzy, nie wznosi się ani razu do tych wyżyn, na których wszystkie sprzeczności stapiają się w harmonię, wszystkie zarówno cnoty i ułomności zespalają się w niezbezną, niepowtarzalną jedność.

Nasi przedmickiewiczowscy pisarze wyrażają coś z Polski, coś czasem bardzo polskiego, ale nikt z nich nie wypowiada najwyższych możliwości polskich, wszystkiego zarazem co polskie i najwyższego co polskie.

Byłoby niesprawiedliwością powiedzieć, że Kochanowski nie był pisarzem narodowym, mimo że wzorował się na Grekach i Ronsardzie, albo że książę-biskup warmiński nie był w każdym słowie typowym światłym panem polskim, rozkochanym w użyciu zarówno życia jak sztuki, ale przecież żaden z nich nie miał prawa powiedzieć: «Ja i Ojczyzna — to jedno», jak miał to prawo powiedzieć Mickiewicz zarówno w «Dziadach» jak w «Panu Tadeuszu».

Mickiewicz zdobył to prawo nie dlatego tylko, że w nim był rząd dusz polskich, że tematem jego sztuki było to co wówczas przejmowało i wstrząsało naród, że jego poezja niosła pociechę, nadzieję i proroczo wolność. Mógł on przedewszystkiem powiedzieć «Ja i Polska — to jedno», jak Raszyn mógł być powiedzieć «Ja i Francja — to jedno», choć w jego tragediach nie działa się nic z czego mogłaby płynąć bezpośrednia nauka dla polityki ówczesnej Francji, dla szczęścia poddanego Ludwika XIV, choć Estera nosiła szaty judejskie, Britannicus — tunikę rzymską, a Fedra stała na greckim koturnie. Mickiewicz wyraził całą Polskę, wszystko co polskie, najwyższe co polskie, po stokrot bardziej niż przez jakieś naszą opowieść «Pana Tadeusza» albo jakże autentycznie polski dramat «Dziadów», przez sam wiersz, sam swój język, sam rodzaj swego uczucia. Zdołał on uczynić to co Raszyn uczynił dla Francji, że kiedy mówimy jakiegoś jego wiersze, naprzykład kilka owych boskich linii z zakończenia «Pana Tadeusza» («Zosia tańczy weselo...»), poprzez opis pewnej określonej sceny, opis naporoz zupełnie epiczny, poruszają się w nas wszystkie naraz uczucia, które dopiero wszystkie razem wzięte czynią z nas Polaków, że dochoździ w nas do głosu wszystko co stanowi naszą niepowtarzalną odrębność, że największa nasza wzniosłość i największa słabość są zarazem poruszone i wstrząśnięte.

I kiedy myśli się właśnie o Mickiewiczu i Raszynie, trudno nie pomyśleć, że jak w życiu jednostki o dojrzałości stanowi ścisłość związku między jego biologią i życiem duchowym — tak samo literatura dojrzewa gdy stwarza dzieło, w którym godzą się w jedność harmonijną: temperament, myśl i uczucie. Jak więc można powiedzieć, że litera-

tura francuska dojrzewa w w. XVII, dojrzałość naszego piśmiennictwa przypada na w. XIX i Mickiewicz jest w nim pierwszym dojrzałym mężczyzną i człowiekiem.

Ze ta epoka jest epoką romantyczną — więc wszystko co w niej powstaje naznaczone jest przez styl romantyczny, ale właściwie nasza literatura w. XIX jest to przedewszystkiem klasyczna literatura polska, to znaczy taka, w której polskość wypowiedziała się całkowicie i najwspaniale.

Mickiewicz właśnie przedewszystkiem wyraża tę pełnię i urąg wszelkim normom, w które chciałoby się go wtłoczyć. Nie nazwiemy go oczywiście klasykiem dla jego prób pseudoklasyk, w których holdował modzie czasu, ale czyż można «Pana Tadeusza» nazwać poematem romantycznym, czyż to dzieło trzydziestoletniego mistrza, czyż też — jak gdybyśmy dzisiaj rzycaj powiadał — trzydziestoletniego młodzieńca, arcywrt takiej dojrzałości, takiej harmonii, że porównania dlań się szuka aż z eposem, które wyhodował wielowiekowy geniusz zbiorowości, czyż ten gigantyczny poemat zgody na istnienie, sięgający w tem do głębości, do których docierał jeden bodaj Szekspir w «Burzy», czyż owa burza namiętności, ukryta za najczystszy lazorem poezji, nie jest przedewszystkiem polskim arcydziełem klasycznym, zrodzonym w wieku, w którym polskość dojrzała do swej pełni?

O klasyczności błąka się pojęcie, które wyrobił o nim jego echa, jego odbudowy — czy to z czasów, kiedy po raz pierwszy w wieku odrodzenia zaczęto odkopywać starożytność, czy też z czasów księdza Delille, pojęcie, które bierze formę za treść, przeciwstawiając rzekomą stateczność, a co dziwniejsze, pogodę klasyczną — namiętnościom, któremi jakoby romantyzm dopiero zaczął grzeszyć, czy też które jak gdyby on dopiero odkrył.

Klasycyzm bez namiętności, Grecja bez uproszczenia, cóż za pozory, cóż za nieprawda! Cóż jako namiętność ślepa i okrutna, cóż jako beznadziejność naszego losu, ponad którą wzniesie się możemy jedynie przez jego pojęcie, cóż jako ciemność, noc i krew — równać się może z Sofoklesem; pogoda jest napewno w bukolicach, ale przecież nie u bezlistosom, grzączącego jak piolum Arystofanesa, układności — nie szukać chyba w «Sympozjonie» Platona, który łączy się wśród pijanej kompanji i której realizm, gdyby dziś ten utwór powstał, nie pozwoliłby mu może ukazać się w druku.

I tak samo w klasycyzmie francuskim. Zaden podziśdzień poeta francuski nie ma tego żaru namiętności co Raszyn, gdzie szukać spokoju w «Myslach» Pascala, albo układności w «Provincjałkach»; jedno co w nich odpowiada pojęciu klasyczności — to jasność, cudowna sztuka, opanowanie uczuć świadomością człowieka i artysty.

Jeśli zaś o romantyzm chodzi, i tutaj także jakżeż są zawodne utarte określenia i formuły! Szekspir jest, jak wiadomo, jednym z bogów romantyzmu, i doprawdy trudno o większy bezład czasu, rodzaju i tonu niż «Sen nocy letniej», o bardziej romantycznego bohatera niż Hamlet, o brutalniejsze wargnięcie plebsu na scenę niż w «Cezarze» czy tymże «Snie nocy». Czyż więc nie można powiedzieć, że Szekspir, który żył w w. XVII, był przecież największym poetą romantyzmu i różnych naiwnych balladystów romantycznych nazwać pseudoromantykami? Mickiewicz, jak Szekspir, jak Raszyn, jak każdy geniusz, zjawiając się w określonym czasie, wychodzi poza normy swego wieku. Jeszcze w «Grażynie» i «Wallenrodzie» wiąza go różne gusty i przesady romantyczne, zanim wszystko stanie się nim, Mickiewiczem, w którym zamknął się duch polski, rozmarzony i burzliwy, związany w klasyczne więzy swej kultury.

Cóż wobec ciągłej nowości, której kwiatem jest jego poezja, cóż wobec całej przeszłości Polski, którą w wzięł w siebie, cóż wobec ciągłego powrotu nas wszystkich do tych kart, zapisanych przed stu laty, znaczą słowa: nowość, tradycja, współczesność?

Mickiewicz pokazuje nam ich względność i wieloznaczność, pokazuje nam, jak później Wyspiański, że nowość i tradycja nie są ze sobą sprzeczne, ale

Pierwsza guwernantka — 1895

(La première gouvernante — 1895)



rys. Franciszka Themerson

Antoni Słonimski

Drzewa

Wiedziałem zawsze — piękne są drzewa W Fontainebleau, Zwałasza pod wieczór, gdy złoto nieba Biorą za tło.

A przecież teraz wspominać muszę Niemal codzień Polnej topoli, wierzyby czy gruszy Przydrony pień.

Uczył mnie tego, trafił wierszami W serce do dna, Ten co się teraz modli za nami Z płace de l'Alma.

Wiedziałem zawsze — piękne są drzewa W Fontainebleau, Gdy je okryje letnia ulewa Srebrzystą mgłą.

Lecz nie wiedziałem co najważniejsze — Ach uczeń zły! — Francuskie drzewa, choć najpiękniejsze, To drzewa za mgły.

A nam potrzebny las który śpiewa, Szumiący bór, Konar prawdziwy twardego drzewa I mocny sznur.

ANTONI SŁONIMSKI.

że przeciwnie, największe przewroty literackie czynili ci właśnie, którzy wchłonawszy w siebie przeszłość, znaleźli przez to instynktowną miarę nowości. Mówi nam on, że kto nie jest związany z przeszłością, nie jest związany z niczym i żadnej prawdziwej nowości nie osiągnie, wreszcie przez ciągły nasz do niego nawrót, przez to że się spowiadaamy, słuchając jego wierszy — mówi nam on, że są zdarzenia, prądy uczuć i myśli, które nas murem odgradzają od ledwo przeżytego czasu i czynią nas współczesnymi naszym przodkom.

Na naszą ojczyznę jak i na świat cały przyszedł czas burzliwy, czas nie do ograniczenia przez szkiełko i oko krótkowzrocznych naturalistów, którym się wydawało, że istnieje jakaś rzeczywistość ustakowana i ustalona, wyższa ponad namiętność jednostek i tłumów i wskutek tego mogąca się obyć bez poezji, bez jej niepokojów, jej procektów i marzeń.

Niepodległość Polski powitana została — i przyszłość powie, jak ciężko zaważyło to na jej losie — przez wezwanie owych lekkomyślnych wielbiceli rozsądki, by odwrócić się od poezji dlatego, żeniosła ona jakoby pamięć niewoli, by to co było na powierzchni życia uznać za jedyne życie, by nie patrzeć do jego głębi, nie wiedzieć co ona gotuje i czemu grozi.

Napozór był to jak gdyby nakaz Wyspiańskiego, by odwrócić się od grobów, aby odegnąć brązowego genjusza poezji, urzekającego czarami przeszłości, aby marzenie zastąpić czynem, aby natchnienie przestało być przywilejem dni świątecznych i towarzyszyło każdej pracy, napozór było to jakoby owo wymarzone w „Wyzwoleniu” życie historia, a nie poezja. Ale to co było u Wyspiańskiego Orestesową zbrodnią, dziejącą się na niedostępnych dla nas szczytach — sprawdzone na wiecie i do dzienników, stało się uprzykrzonym krzykiem trzymufającego samouczelbienia, wyrzekającego się uludy poezji, by paść się kłamstwem pochlęstwa i nie znoszącego jej światła, dlatego że w nim to właśnie jedynie widać było rzeczywistość.

Rzeczywistość tak groźna, że błędna przy niej opowiadania pani Rollisonowej, wizje Kordjana i beznadziejne procektwa „Nie-boskiej”, epoka której chcą wypowiedzieć okrucieństwa i szaty, trezaby podnieść głosy Sofoklesa i Szekspira, obudziła nas w chwili, w której wielu z nas myślało, że Mickiewicz, Słowacki i Krasiński byli marzycielami nie pojmującymi rzeczywistości.

Trzeba to zrozumieć, i ma to nie tylko literackie znaczenie, ale pomoże to nam ująć znów w rękę nie prawdziwej polskiej tradycji, trzeba to zrozumieć, że nasza wielka poezja XIX w. w formie romantycznej, muzycznej, poprzez symbole, słowem, przez formy właściwie marzycielskiej naturze naszego narodu — wyrażała rzeczywistość którą są nie tylko fakty, ale i życie duchowe.

Polska, jak to jej literacka historia uczy, wypowiada się bardziej w poezji, niż w prozie, i jeśli mieliśmy prozatorów, pełnych sztuki znakomitych opowiadaczy, doskonałych nauczycieli, zabójczych prześmiewców, największe inteligencje, najostrzejsze krytycyzmy, byli to właśnie poeci — Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid i Wyspiański.

Walkę Wyspiańskiego z Mickiewiczem można by też niemal określić jako walkę z urzekającą formą, poza którą kryła się przecież myśl zdrowa i do której ów czar nie pozwalał się zbliżyć; ostatnia scena „Wyzwolenia”, w której sam Konrad-Wyspiański czuje się w niewoli sztuki, czuje, że bez tej formy, bez poezji niema też jego władztwa — jest zarazem poddaniem się Wyspiańskiego Mickiewiczowi.

Mickiewicz, trzeba to powtarzać, aby zakończyć ową z nim walkę, była to inteligencja, świadomość, jaka się w polskiej prozie nie pojawiła nigdy. Kiedy parę lat temu wielki Bédier, ten który odbudował z okruczeń legendę Trystana i Izoldy, przemawiał w Collège de France na stulecie „Pana Tadeusza” — mówił on z podziwem Francuza, przy-

wykłego oceniać rzetelny wysiłek i myśl jasną, jak bardzo Mickiewicz jako profesor był przy swem natchnieniu logiczny i ścisły i ile wniósł nowej zupełnej wiedzy do nauki o Słowiańszczyźnie.

Czytając „Literatury słowiańskie” i artykuły w „Trybunie Ludów” widzi się, że to są jedne z najmądrszych, najbardziej oświecających inteligencją kart prozy polskiej, że Mickiewicz był wielkim profesorem i niezrównanym publicystą. Ale owa inteligencja, ów krytycyzm, owa ścisłość, tak zdawało się związane z prozą, są też — o dziwo — nieodstępna cnotą jego poezji. Niema podziśdzeń w literaturze świata takiej prawdy, takiej powieści, takiego traktatu, takiego pomiennego artykułu o Rosji, jak ów „Ustęp III części „Dziadów”, i takiego na nią wyroku wiecznego niewolnictwa, jak owa końcówka zwrotka z „Pomnika Piotra Wielkiego”:

Car Piotr wypuścił rumakowi wodzę, Widac, że teściat, tralując po drodze, Odrazu wskoczył aż na sam brzeg kopca. Już koń szalony wzniosł w górę kopyta, Car go nie trzyma, koń wędziłtem żuryta. Zgadniez, że spadnie i pryśnie w kawaty. Od wieku stoł, skacze, lecz nie spada, Jako lećca z granitów kaskada, Gdy ściera mrozem nad przepaścią zwisnie:

Lecz skoro stołce swobody zabłyśnie, I uwar zachodni ogryze le państwo, I cóż się stanie z kaskadą tyranstwa?

Kiedy nasz drogi Paul Cazin przełożył „Pana Tadeusza” prozą, budząc tyle niezadowolonych zgorszenia, wśród innych celów i ten — niezamierzony — osiągnął, że owych dwanaście tysięcy najpiękniejszych wierszy polskich okazały się zarazem boską powieścią o żelaznej konstrukcji, powieścią pełną szczegółów z astronomii i botaniki, z historii i heraldyki, ba! — nawet z gastronomii, szczegółów tak ścisłych, że kiedy się je czyta w prozie, niesposób pomyśleć, aby mogły być też cudownym wierszem, powieścią, w której Mickiewicz z lekkością mistrza już nie sztuki, ale życia przechodził od Homeowego patosu poprzez jakąś montaigne'owską gospodarską rozważkę do francuskiej lekkości, do tonów komedjowych, w których jest pasja komiczna Moljera, ale pełna wdzięku i uroku, jak w owej rozmowie Tadeusza z Telimena, grożącej mu samobójstwem, albo w opowiadaniu Telimenu o pieskach.

I ileż rozrzuconych w „Panu Tadeuszu” sentencji, podanych jako proste gospodarskie prawdy, a wynikłych z niepojętej jak na trzydziście sześć lat Mickiewicz, jego dojrzałości, sentencji, które, dziw, że nie przenikły do codziennego życia jak kiedyś lapidarności księcia-biskupa, a w naszym wieku bodaj tylko cytaty z „Wesela”.

Jakże można pomyśleć, aby ten sam Mickiewicz, który tak jasnym umysłem ogarniał życie, tak przenikał ludzi, tak miał pasję wiedzy, taką ścisłość nawet w wierszu, takie poczucie budowy i taki dar komizmu, aby ten Mickiewicz „Drogi do Rosji” i „Pana Tadeusza”, który jak z jego przerażającym chłodnych listów wynika, czuł się odrzucający nad egzaltowany idealizm filomatów, był zupełnie innym człowiekiem, zdany na łaskę swych przywódców, niezdolnym trzymać swej fantazji na wodzy, kiedy pisał „Dziady”? Czyż nie musi przyjąć na myśl, że i tam holdował on jakiejś wiedzy, jakimś szczególniem rozśądkiem, że wdawał się w jakieś rozprawy, ale że tychże one dziedzin, dotąd nieprzemienionych, a w które chciał on właśnie przedrzeć się jak Goethe nienasyconym umysłem i bodaj w tem do Goethego z II części „Fausta” podobny?

Czytajmy ów koniec fragmentu I części „Dziadów”, kiedy Myśliwy zbliża się do Gustawa, a ten mówi:

„Dzięk! Od nieznanym nie żądam pomocy, Nie zabieram przyjaźni tak rychło i w nocny; I nie rozumiem co twe słowa mają znaczeń?”

— Jeżeli niepojętym, będę się tłumaczył; Jeżeli mi nie ufasz, będę szerszy z tobą... Wiedz naprzód, iż gdzie ślapiasz, jest zawsze nad tobą

Pewna istota, która z oczu cię nie traci I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postać. Jeżeli to coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie... — Przebóg! co to ma znaczyć?... Nie zbliżaj się do mnie!

Czyż po wstrząsie, którego doznajemy i który zdaje się być jakby skutkiem obecności czegoś nieoczekiwanego, ale bardzo rzeczywistego, nie pojmujemy, że jesteśmy i tutaj na gruncie realnym, na gruncie jakiejś rzeczywistości duchowej, którą Mickiewicz przez magję swej poezji czyni dla nas dotykającą i prawie jakby naturalną? A jeżeli jest w życiu osobistem i publicznem Mickiewicza okres egzaltacji chorobliwej i wynikłych z niej błędów ludzkich i politycznych — to poświadczamy, że okres ten nie dotknął niemal jego twórczości, był on doprawdy ponad jego znaczenie wyniesiony przez różnych niezbyt fortunnych a młodzieńczo naiwnych badaczy i entuzjastów Mickiewicza, szukających w nim jak gdyby usprawiedliwienia dla własnej mętności, dla własnych mizernych mistycyzmów i fałszywych prawdziwych obrazów, który przy największych darach sztuki, przy potężnej męskiej uczuciowości, był wspaniałym umysłem o wiedzy i chłonności nadzwyczajnej.

I tak samo nie tylko Krasiński, którego historia literatury nazywała „poetą myśli”, a o którego „Nie-boskiej” powiedziano, że przeczyła ona Nietzschego i Marxa, ale i Słowacki-fantasta, Słowacki-melancholik i niewiódca, anheliczny Słowacki, o którym najczęściej się myśli, że wtedy dopiero był sobą, kiedy przestawał dotykać ziemi, był, jak wskazuje jego boskie listy, czarując stylizowane, ale jakże przystomne, albo lśniąco wspaniałą ironią oktawy „Beniowskiego”, a nade wszystko jasnowidzący dusze ludzkie i uśmiechnięty nad nimi Fantazy, był to umysł przy swym wyszukaniem wykwinie niezwykłe realny i zdrowy.

Było jedną z ostatnich mód literackich w Polsce przeciwstawiając intelektualizm Norwida nieopanowanym jakoby wzruszeniom romantyków i jakoby wygodnemu tradycjonalizmowi Mickiewicza. Moda powstała z niezdrowego gustu do rewizji literackich i zresztą uprawniona przez samego Norwida, który się świadomie Mickiewiczowi przeciwstawiał. Trudno sobie wyobrazić, aby przyszłość uznała tak postawione przeciwieństwo i by symbolizując, oświecając rozumem Norwida i jego bezamiętna brylantowa dialektyka — miały być postawione jako jakaś wyższa forma intelektualizmu nad mickiewiczowską, biologiczną niejako, zdolną do jasnowidzenia mądrość i jego dar zmysłowego poznawania tajemnic. Niesposób jednak nie widzieć w Norwidzie, poza oczywiście autorem arcydzieła niezwykłe własnych, w których schyłkowe niemal wyrafinowanie graniczy z genialną prostotą — prawdziwego fenomenu swego czasu. Jest on zjawiskiem przez świadomy stosunek do katalocizmu, w czem może być uznany za poprzednika iluz współczesnych Francuzów, zjawiskiem jako świadomość kulturalna i zjawiskiem wreszcie, jako pierwszy poeta, który nie tylko rekonował w poezji o sztuce, ale u czynił ją zasadniczym elementem swych wierszy, jak donieró dłużej po nim Mallarmé i Valéry we Francji.

I wreszcie ostatni z owych wieszczów, którzy byli zarazem największymi myślicielami naszego narodu, ten

który myślał wyszedł poza czas swój i przeniósł się do jeszcze wtedy nieodzyskanego państwa, by tam nieublağanym sądem rozpatrywać przekleństwa duszy polskiej, otwartym szeroko wzrokiem patrzeć na niepokromione jej demony, ten, który wziął w siebie wszystkie niepokoje wielkich statystów i wielkich wieszczbiarzy i uczynił je — on, który tak oskarżał Mickiewicza — najbardziej urzekającym, najbardziej muzycznym, pełnym mackojkowskiemu przepychu i mistycznych światła teatrem.

Trzeba dziś czytać Wyspiańskiego sceny tak niemal napamięć znane, jak dialog Dziennikarza ze Stańczykiem, trzeba się wzczuć — a niestety, jakże to dzisiaj łatwo! — w ostatnią scenę z „Wesela”, trzeba z eleuzyjskiej symboliki „Nocy listopadowej” wydobyć to co jest w niej wielkim historycznym sądem, trzeba przedewszystkiem czytać uważnie, kartą na karcie, ów niedościgły w żadnej innej literaturze arcytwór dyskusji, będącej zarazem najbardziej pasjonującym dramatem, ów dramat myśli działającej z teatralnością widowiska dla tłumów, trzeba czytać owo wieszce „Wyzwolenie”, którego tytuł porywający i ironiczny stoi jak znak zapytania, wyrzut i hasło nad całym podziśdzeń życiem polskiem — aby zrozumieć, że miejsce Wyspiańskiego jest nie tylko w dziejach naszej poezji, ale i w naszych dziejach poprostu, obok wielkich mężów stanu, których myślą bezsensną stało i rosło państwo polskie.

W jego sztuce, tak prostej, że jeśli chodzi o wiersz naprzykład, zdaje się czasem aż niezręcznej, zawiera się cała historia i cała nasza kultura, wyrażone przez obrazy znane z podręczników, przez znajome od dzieciństwa dźwięki krakowskich dzwonów albo ludowych melodi, ale podane w niebywałym nateżeniu kolorów, w mistycznym świetle, w pełni brzmienia, które czynią z dzieła Wyspiańskiego teatr narodowy, nie tak namiętny, nie tak szeroki, ale chyba głębszy i wyższy niż teatr Wagnera.

Nato, by ten teatr stworzyć, trzeba było jak Wyspiański mieszać u stóp Wawelu, którego dzwon był mu przypomnieniem naszego złotego wieku, trzeba było przechodzić rozporaz koło Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie na jakby urzędowym przez przeszłość dziedzińcu stoi Kopernik, który wywiódł świat ze średniowiecza, trzeba było z murów kościołów krakowskich i z murów katedry w Reims czytać historię walk z szatanem, trzeba było znać od dziecinstwa historię Agamemnona, Klitemstry i Orestesa, trzeba było dzieckim sylabizować tytuły: „Juljusz Cezar” i „Hamlet” pod stalorytami starego wydania Szekspira, uchylać codzien czapki przed zgARBIONYM, śmiesznie drobny Matejką, śniącym na jawie gigantycznych atletów ze stropu Sykstyńi, przyzdianych w delje i kontuzje, przymyślać oczy i marzyć sceny z „Dziadów” i „Kordjana” i trzeba było wreszcie mieć dar słuchu rzeczy niesłychanych, jakichś dźwięków z wiklin i krzów nadrzecznych, jakichś głosów z dna Wisły, które od tysiąca lat szepczą legendę naszego początku, opowieść o Krakusie i Wandzie.

W bardzo pięknym essayu napisał kiedyś Grzymała-Siedlecki, że Wyspiański zastąpił polski wiek XVII, którego u nas nie było; paradoks bardzo trafny, jeśli się zważy jego niepokój religijny i sumnienie tak właściwe tej epoce. Ale nie tylko że zastąpił on wiek XVII. Wszystkie wielkie prądy duchowe, wszystko czem żyła myśl europej-

Światopiek Karpiński

W odlocie

Kiedy wróćcie, rodzinne bociany, O wiosny zielonym błękitcie, Własnej zagrody, strzechy stomianej, Już nie ujrzycie...

Zaczniecie jeno kołować wkłó Klekocąc o nieba poszytce, Ze przecież tutaj pęczyła sióło I żyto było i życie...

Prześcacie kregi pisać po niebie... Niema już tego... przepadło... Trawa porośnie... ziemia pogrzebie... Czarne zgorzelisk zwiertadło...

Nagle odrzucił w odlocie sitym Znad ruin w krainy inne, Kiedy mokradła, mocne doliny, Dla białych ptaków gościnne...

Choć w dekoracjach obcystej sceny Cięży z łakami rozłaką, Ze były w stawach żabie migreny, Ze blask świętojański się błaką.

Czekajcie wiosny... jakże skrzydlata Wepnie was wiatrom do lotu: I oto sióło... I oto chatą... I tyż rzęście powrotu...

SWIATOPEŁK KARPINSKI.

ska od jej greckiego zarania, wszystko poza swawolnością i rozsądkiem rokoka, które były mu obce — przeżył on w sobie i przetworzył jako dramata Polski, jako sceny, wizje i osoby naszych dziejów, i dzieło jego jest nie tylko dziełem jego geniuszu, ale zarazem świadectwem wchłonięcia przez Polskę kultury europejskiej i naszego świadomego w niej udziału.

Jest to bowiem pewnikiem, że Polska wtedy wydaje najświetniejsze dzieła swej sztuki, kiedy jest w łączności z Zachodem, kiedy idzie równoległe do wielkich prądów, kiedy wypełnia swą misję, kiedy trzyma się tego wielkiego szlaku, który kazał jej, wiaźwszy od Zachodu miarę i prawo do budowania polskiego życia, ponieść je dalej i z iluz naraz kościołów, w skół i wojennych strażnic Krakowa, Warszawy, Lwowa i Wilna bronić wiary w Boga i człowieka.

Nie trzeba też było tylu lat spędzonych przez Mickiewicza i Słowackiego w Paryżu, by ich dzieło było dziełem z ducha tej łączności Polski i Zachodu, nie trzeba było, by „Pan Tadeusz” drukował się u Pinarda na Quai Voltaire, aby był on nie tylko największym skarbem naszej poezji, ale jedną z najpiękniejszych budowli Zachodu. Można by powiedzieć, że dopiero w zetknięciu z Zachodem duch polski uswiadomił sobie swoją odrębność, pragnął tę odrębność podkreślić i rozwinąć, i najwięksi Polacy, to są zarazem najwięksi Europejczyści. Nawet pomniki polskiej szlachetności, pobawione dla jej grzechów, dzieła najrdzenniejsze polskie, napisane były przez pisarzy, którzy — jeśli nawet jak Słowacki i Norwid nie współżyli z wielkimi prądami Zachodu — nauczyli się jego harmonii, kształcili swe pisarskie rzemiosło na francuskich wzorach. Taki był Henryk Rzewuski, mimo programowego sarmatyzmu wielki przedewszystkiem artysta, jak to pokazuje „Listopad”, pojmujący równie dobrze Zachód jak Polskę, taki wielki, wciąż wielki Sienkiewicz, przedewszystkiem artysta zachodniego typu, bardziej niż nam się wydaje i niż on sam myślał, uprawiający „sztukę dla sztuki”, taki też poeta „Sobola i panny”, tyleż paryzanin co pan inflancki. Cóż z tego, że Mickiewicz podniósł ideę słowiańska, co z tego że Słowacki wroził przyjęcie „słowiańskiego papieża”, kiedy obaj byli ludźmi Zachodu, wychowanymi na jego dziełach i myślach, kiedy ich poezja łączyła ich z Zachodem, wnosząc do tej zachodniej kultury naszą własną polską wartość, nasz ton. Za to ilekroć podnosi się w Polsce hasło zamknięcia się przed obcimi wpływami, ilekroć polskie samochwałstwo tepić poczyna wszystko co obce, choćby najlepsze, dlatego tylko że obce — wtedy kultura polska traci busole i miarę wartości, przestaje przewodzić narodowi i idzie na służbę jego najgorszych pasyj, najmarniejszych ambicji.

Epoka saska nie jest to określenie z dziedziny czasu, oznacza ona stan kulturalny, stan historyczny, który znany jest nie tylko jednej epoce naszych dziejów. Zawsze wtedy w życiu i piśmiennictwie zjawiają się straszaki cudzoziemczyny obcych wpływów, zawsze wtedy duch krytyczny, jedynie zdolny odbudzić i przetrzeć zgnuśniały naród, przedstawiany jest za największego jego wroga, zawsze też wtedy rozkwita nie piękna poetycka apoteoza ale służalczy panegiryk narodu i ludzi.

Nasza wielka poezja, nasi wielcy prozatorzy pełniłi szczerze rolę prawdziwych przewodników, miłujących swój naród, chcących go uszczęśliwić przez to że go chcieli podnieść, że go chcieli nie ogłosić, ale naprawdę uczynić takim jak największe narody albo naprawdę produkującym ludzkości. Przez całą historję naszego narodu, u którego kolebki stała bogini wojny, każąc nam wybierać między nieustannem zdobywaniem wielkości a klęską, idąc potężne głosy, wzywające do tej wielkości, podtrzymujące bohaterów w bitwach, sławiące ich zwycięstwa, karcące gnuśnych i tchórzyliwych, głosy napomnienia i ostrzeżenia, głosy procektów i przekleństwa. Odkąd polska mowa staje się doskonałym narzędziem zdolnym wiażąc

słowa w akordy wszystkich uczuć i myśli, pisarze polscy używają jej z myślą o narodzie, czasem zbyt nawle myślac o doradnych napomnieniach i przykładać, zbyt mało o budzeniu owych wstrząsów, które sprawia piękno i które zmieniają i budują na zawsze dusze, zdolne ulegać jego czarom.

Ułomności duszy polskiej, ułomności i szalenstwa naszego ustroju, ślepoty naszego piśmiennictwa głosy moralizatorów, statystów i poetów, obdarzonych jasnowidzeniem prawdy: głos Kassandry, oddany złotemu istry Jana z Czarnolasu, rozproszy głos Frycza, Jeremjuszowy głos Skargi, jady Opałińskich, szlachetna, światowa mądrość króla Leszczyńskiego, a później nauki pijarów, wielka Kołłątajowa proza i uśmiechnięta roztropność księcia-biskupa warmińskiego towarzyszą historii niepodległej Polski ciągłą troską o państwo, o prawdziwą wielkość naszego narodu.

W chwili niewoli i klęski, kiedy zrany naród potrzebował pociechy, ukojenia i wiary, wraz z niemi niosą mu wlecy poeci dobrodziejstwo prawdy o nim samym, o jego winach, potężniejszej niż naiwna pociecha dobrodziejstwa spowiedzi. Spod klęski trzydziestego pierwszego roku podnosi Słowacki dumny ideał prawdy, na której jedynie można coś trwale zbudować, i w „Grobie Agamemnona” wydaje sąd podziśdzeń szustny i podziśdzeń twórcy. Mochnacki w niezrównanej prozie swą „Historji powstania” prowadzi Polaków do zwierciedla ich win i słabości i odprowadza nas od niego silniejszych wieźca, jak należy walczyć i zwyciężać.

A jeżeli elementarna namiętność, a później olimpijski krytycyzm Mickiewicza jakby po ojcowisku oszczędzały zbolągą ojczyznę — rozumiemy przecież że „Pan Tadeusz” nie był pochlęstwem, tylko obrazem, w którym jak u największych olimpijskich mistrzów, nauka płynie nie w napomnieniu ale z przykłady. I Mickiewicz, obdarzony tą największą sztuką, sięgając przez swe słowo aż do głębi serca — wniósł do serc polskich ideał pokutnika, umieraającego za ojczyznę, i ideał równości, wyrażony w sielankowym obrazku Zosi, dającej wolność chłopom.

Ten wielki szlak literatury polskiej, obok którego szły mniejsze gościnie i drożki, ani na chwilę niemal nie gubi się mimo mroku niewoli, a potęgi głosów Mickiewicza i Słowackiego starca dla napomnień i otuchy do czasu, w którym przemówi tragiczna, koturnowa satyra Wyspiańskiego i w którym bolesny Zeromski pocznie rwać rany niewoli, by żyć jak wszyscy inni ludzie.

Jemu jednemu, ostatniemu z tych napomniaczy, dane było wejść do nowej Polski i na krótko ulec zdzeniu, że pisarz polski będzie w niej mógł wreszcie oddawać się trudowi odnajdywania słów i obrazów, najbliższych utajonej prawdy zdarzeń, dobywać z jej gry sekretów człowieka, niezbadanej tajemnicy losu, spokojny że słumienie narodu, którym była poezja, rzeniknęło już do każdej polskiej pracy i że przyszedł wreszcie dzień wymarzony, w którym Konrad, zamknięty wśród czarów krakowskiego teatru, wychodzi na słońce, by żyć jak wszyscy inni ludzie.

I oto widzimy dzisiaj, że Konrad jest znów w okowach, że otaczają go znów białe maski, wabia cienie, że w grobach wawelskich idą jakieś rozmowy, że te maski i cienie chcą mówić, przeklinać, wzywać pomocy, że chcą znów od Konrada pociechy, rady i nadziei. Widzimy, że uczyniwszy wszystko, by wyzwolić się spod największej tradycji naszej literatury, jesteśmy znów bardziej niż kiedykolwiek w jej kręgu. I że trzeba znów słuchać wielkich poetów i pisarzy, wyrażać sobie słuch na ich sztywne dźwięki od prawdziwych, prawdziwą nowość od nowinek i od trupięgo przeszłości.

JAN LECHON.

JEDYNA POLSKA INSTYTUCJA FINANSOWA NA WYCHODZTWIE Bank Polska Kasa Opieki S. A. ODDZIAŁ W PARYŻU 23, RUE TAITBOU, PARIS 9-e Agencje: Lens, Montceau-les-Mines BANK P. K. O. CIESZY SIĘ Zaufaniem WYCHODZTWA ODDZIAŁY: Buenos-Aires, New-York, Tel-Aviv

CZARNO na BIAŁEM ORGAN POLSKIEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ Wychodzi trzy razy na miesiąc w Paryżu Przyznosi artykuły: Tytusa Filipowicza, Jana Turonia, Aleksandra Hertza, Mieczysława Szerera, Czesława Poznańskiego i innych Do nabycia w kioskach, na stacjach kolejowych i w instytucjach polskich we Francji CENA NUMERU WE FRANCJI: FRs. 1.50 Prenumerata kwartalna 12 fr. „ półroczna 20 fr. „ roczna 35 fr. Adres redakcji i administracji: 5, r. Corneille, Paris (VI-e), tel.: DANton 67-62, nr. konta Banku P.K.O.: 71.

MARJA KUNCEWICZOWA

LEPIÓWKI

Fragment z powieści „MAŻ RÓŻY”

W nr. 821 „Wiadomości Literackich” drukowany był p. t. „Piotr i Augusta” pierwszy rozdział nowej powieści Marji Kuncewiczowej „Maż Róży”.

Piotr i Augusta Cecylja są rodzicami małego Adasia, który z czasem stanie się mężem Róży (Cudzoziemki). Rzecz dzieje się w siódmym dziesiątku lat zeszłego stulecia, na Białej Rusi.

Adas, jednakowo było mu w domu, w miasteczku nie ciekawej. Lubił wyprawę na rydzie i zielonki do lasów w Szerokiem, lubił widzieć samowar, buchający parą na kwicistej polanie.

Lubił na wiosnę wynosić kotuch pełen kurapatw przeziwianych w śpiżniku na błonia za ogrodem, patrzeć, jak ogupiałe ptaki — wypuszczone na wolność — nie umieją z niej korzystać.

Jak na złość — w tym czasie właśnie — na leśnicówkę wałiła rodzina. Siostra żony, wdowa Klonowska ze Sławatry z trzema synami, brataniec rodziny Tomasz, na weterynarza aż w Moskwie się kształcający, i córka Krzysztofowicza z dziećmi.

Krzysztofowicze zwiastują wiele przyczyniali zachodu. Odkąd więc został mianowany «stanowym prystawem», o bok należnych mu świadczeń familjanki — przybyło poważanie dla «czynu» i uwaga na własny interes.

Raz rzezy przybrały obrót ciekawy, nie dano im wszakże dotoczyć się do końca. W Wielkim Tygodniu chłopcy z Czernawicy wykradali matkom kraszanki, kompletując kolekcję jaj do „wybitki”.

Regina i Cecylja pozwały Adasiowi próbować stukaniem o zęby najmocniejszej sztuki. W pewną Wielką Sobotę poszedł spać, zasnąwszy pod łóżko w kamieniu, „marykanek”, które to słowo oznaczało produkt „amerykański”, wyborowy.

Nikt taką modą — nie wiedział wtedy dobrze o sobie na Polesiu: Lach on, czy Białorus, czy ruski człowiek rdzenny, albo li może z Germanów. Jedno za pewne podawali sprawnicy: że chłopca gnębi, ten pan, inaczej powiadał: Polak. Miedź zięcia czynownicy z Polaków bardzo przydawało się Rachelowi.

Można było po prawdzie wielu zaawidłości uniknąć, przynajmniej oko na tropy, ścieżki niespodziane i trzaski nocne. Domaczewski zwierzostan niełatwo się przerzedzał, wszakże natura starego Rachela nie pozwalała opieszalszemu w służbie.

Przystąpił do zwyczajny — lekkim pchnięciem zmiażdżył jego „marykanek”. Rossaluki we wrzask: — Ej, hor'ka jahoda Kalina!

Majtki przychyliły. Adas rzucił precz niemieńskie jajo, sięgnął po drugie. Za nim zdążył je nastawić właściwym kątem, stąpił mu w rękę. Złapał trzeci... Ten sam skutek. Czwarte, piąte... Kiedy szóste skolei, najgrubsze, gęsie, strząskat mu Kalinowski, Adas miał twarz zalaną ogniem.

Przystąpił do zwyczajny — lekkim pchnięciem zmiażdżył jego „marykanek”. Rossaluki we wrzask: — Ej, hor'ka jahoda Kalina!

Można było po prawdzie wielu zaawidłości uniknąć, przynajmniej oko na tropy, ścieżki niespodziane i trzaski nocne. Domaczewski zwierzostan niełatwo się przerzedzał, wszakże natura starego Rachela nie pozwalała opieszalszemu w służbie.

Przystąpił do zwyczajny — lekkim pchnięciem zmiażdżył jego „marykanek”. Rossaluki we wrzask: — Ej, hor'ka jahoda Kalina!

Jedno jedyne było zdarzenie, którego nikt nie zadusił. Zawdzięczał je Adas barczysty, kudłaty żłopał mleko z dzieży i zniżał za najczystszy szmerem.

oju. Odkąd ono się stało, uprowadzając Adasia z nieznośnego kregu dobroci, syn nie przestawał z ręki ojca spoziewać się cudów.

Adasiek Eichwir, zwany także «starym Rachel», mieszkał w Lepiówce, gdzie doworek był siedział nadiesnego dobr Domaczewskich. Książka Wittgenstein, właściciele tych dobr, jedynie w celach sportowych odwiedzał białoruskie włości, złożone z wielkich obszarów leśnych na granicy Korony i Litwy.

W 1863 r. przybyli szczegółnie nie w porę. Mianowicie babcia Martyna, inacz «stara Rachelka», tego dnia właśnie, lustrując śpiżniarz, stwierdziła że żyto jej na przednówek przeje. Sądny dzień nastał na leśnictwie.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

oju. Odkąd ono się stało, uprowadzając Adasia z nieznośnego kregu dobroci, syn nie przestawał z ręki ojca spoziewać się cudów.

Adasiek Eichwir, zwany także «starym Rachel», mieszkał w Lepiówce, gdzie doworek był siedział nadiesnego dobr Domaczewskich. Książka Wittgenstein, właściciele tych dobr, jedynie w celach sportowych odwiedzał białoruskie włości, złożone z wielkich obszarów leśnych na granicy Korony i Litwy.

W 1863 r. przybyli szczegółnie nie w porę. Mianowicie babcia Martyna, inacz «stara Rachelka», tego dnia właśnie, lustrując śpiżniarz, stwierdziła że żyto jej na przednówek przeje. Sądny dzień nastał na leśnictwie.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

oju. Odkąd ono się stało, uprowadzając Adasia z nieznośnego kregu dobroci, syn nie przestawał z ręki ojca spoziewać się cudów.

Adasiek Eichwir, zwany także «starym Rachel», mieszkał w Lepiówce, gdzie doworek był siedział nadiesnego dobr Domaczewskich. Książka Wittgenstein, właściciele tych dobr, jedynie w celach sportowych odwiedzał białoruskie włości, złożone z wielkich obszarów leśnych na granicy Korony i Litwy.

W 1863 r. przybyli szczegółnie nie w porę. Mianowicie babcia Martyna, inacz «stara Rachelka», tego dnia właśnie, lustrując śpiżniarz, stwierdziła że żyto jej na przednówek przeje. Sądny dzień nastał na leśnictwie.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

oju. Odkąd ono się stało, uprowadzając Adasia z nieznośnego kregu dobroci, syn nie przestawał z ręki ojca spoziewać się cudów.

Adasiek Eichwir, zwany także «starym Rachel», mieszkał w Lepiówce, gdzie doworek był siedział nadiesnego dobr Domaczewskich. Książka Wittgenstein, właściciele tych dobr, jedynie w celach sportowych odwiedzał białoruskie włości, złożone z wielkich obszarów leśnych na granicy Korony i Litwy.

W 1863 r. przybyli szczegółnie nie w porę. Mianowicie babcia Martyna, inacz «stara Rachelka», tego dnia właśnie, lustrując śpiżniarz, stwierdziła że żyto jej na przednówek przeje. Sądny dzień nastał na leśnictwie.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

oju. Odkąd ono się stało, uprowadzając Adasia z nieznośnego kregu dobroci, syn nie przestawał z ręki ojca spoziewać się cudów.

Adasiek Eichwir, zwany także «starym Rachel», mieszkał w Lepiówce, gdzie doworek był siedział nadiesnego dobr Domaczewskich. Książka Wittgenstein, właściciele tych dobr, jedynie w celach sportowych odwiedzał białoruskie włości, złożone z wielkich obszarów leśnych na granicy Korony i Litwy.

W 1863 r. przybyli szczegółnie nie w porę. Mianowicie babcia Martyna, inacz «stara Rachelka», tego dnia właśnie, lustrując śpiżniarz, stwierdziła że żyto jej na przednówek przeje. Sądny dzień nastał na leśnictwie.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Wtedy się zaczęły mitregi tych pamiętnych dni... Assesor przepadał za myślistwem. Tym razem także przywiózł fuzję, naboje, sakwy. Szybko odspował podróz i zaczął się sposobić do łowów.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

WIECZNY TŁUMACZ

Część z nas, literatów, uniosta zagranicę trwożnie głowy, część pozostała w kraju. Co też tam oni robią, jak i z czego żyją, czy sprzedają naprzykład papierosy, czy są kelnerami, czy też piszą, pracując w swoim fachu? Makuszynski, Nakowska, Parandowski, Nowaczynski, Kaden i tu ich tam jest w tej barażej jeszcze niż poprzednia, przypadkowej akademii literatury...

Pożegnałem Boya by odwiedzić o dopiero w pierwszych dniach października. Po drodze kupiłem sobie na ulicy jakiś samoczek rosyjski, jako że wtedy Lwów cały niegł małej uczczenia się języka Tolstojów, Dostojewskich i Koganzowiczów. Nie było podwórca, nie było bramy bez kartek donoszących o otwarciu kompletów czy o lekacjach pojedynczych z gwarancją nauce, do miesiąca najpóźniej. Boya zastałem także nad gramatyką rosyjską, otwartą na pierwszym stronie. Był starszy o dziesięć lat i jakby jeszcze bardziej zdziwiony...

Zadumał się i umilkł. Miał w oczach coś jakby tży. Zerwałem się z krzesła i zacząłem mówić gorąco, nerwowo. Ze tu już nie można oddychać! Ze trzeba jechać na zachód! Przez ziloną granicę! Jedźmy razem! Jemu nie wolno zostać! Kto jak kto, ale on potrzebny jest właśnie teraz we Francji, w Paryżu potrzebny jest bodaj jako symbol związków naszej kultury, sztuki, literatury z Francją! Przecież te sto kilkadziesiąt tomów przekładów bogowskich, to jakby dokument wieczny tego sojuszu Polski z Francją...

Byli na polanie. Wyglądała jak pięknie umieciony pokój, szklisty od księżycowej czystości. Podobne do kolumn, wznosiły się brzegiem sosny, splecione czubami. Jedna brozoza — istna świeca — białała pośrodku, jeszcze nie odziana w liście. Wpoprzek — nakształt ławy — biegły zwalone kłody. Rosista trawka zaszcilała ziemię; tu i owdzie zwinięte w baranie rogi paprocie już wynikały z gruntu, kępa wielkich zawiłców srebrzyła się, niczem wytrysk źródła, a przylaszczki siniwały wszędzie, znacząc wóbr kobierca. Trząskało coś w gęstej ciszy, coś spadało, to znów przebiegało chyłkiem; nieznaczna kędzierzawość puszyła się na zaroślach, czyniąc je drzącymi jak młode zwierzęta. Oczywiścież życia była wielka w śnie leśnym, zaledwie tkniętym wiosna...

Jedno jedyne było zdarzenie, którego nikt nie zadusił. Zawdzięczał je Adas barczysty, kudłaty żłopał mleko z dzieży i zniżał za najczystszy szmerem.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsiojowej, wzywający do Makara, to Daniła, to Praksedy do nie cierpiących zwłoki chłopskich robót.

Assesor tymczasem osepiał. Drażniła go pszenica, choć i zgnięta w łopoczyki na rogóżach, draźnił go bas tęsio

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

GŁOSY ŚWIATA

PRAWO ROZBOJU I ZABORU

Adolf Hitler będzie w przyszłości niemiernie ciekawym obiektem badań nie tylko dla historii i psychologii, ale również dla medycyny — powiedział niedawno Sir Neville Henderson, b. ambasador Wielkiej Brytanii w Berlinie.

Wydaje się jednak, iż przyszłe badania psychologiczno-lecznicze obejmą nie tylko osobę twórcy systemu narodowo-socjalistycznego, ale będą potraktowane dość szerzej. Trzeba będzie napewno zapolewać do analizy psychicznej, celem zrozumienia szeregu zjawisk, zachodzących w Niemczech. Wśród nich — objaw masowego zatracenia poczucia słuszności, poczucia, na którym oparte jest przecież prawo, najpewniej będzie musiał być objaśniona droga zbadania, czy mamy w tej chwili do czynienia z czymś w rodzaju masowej hipnozy, wywołującej masową demoralizację przez wieloletnie wbijanie propagandową palką w miliony głów pewnych teorii filozoficznych, zwyrodniałych i «spolaryzowanych» w hasła, okrzyki czy «slogany».

Refleksje takie przychodzą do głowy, kiedy się zapoznaje z polemiką wytoczoną francuskiej «Złotej księdze» przez niemieckie urzędy polityczne i szeroko po. przez Niemcy i kraje neutralne rozprowadzoną drogą przemówień, prasy, radja, przez cały aparat Goebbelsa.

Zdawało się każdemu, kto patrzył na wydarzenia lat ostatnich, że historia, dziejąca się na naszych oczach, zaszczerdziej przynajmniej niż raz tradycyjnego sporu o winę za wywołanie wojny. Nieubagana konsekwencja tego wszystkiego do się działo od r. 1933 w Niemczech była jasna. Nieodstrzegana pozostała tylko dla pewnej wschodnioeuropejskiej placówki dyplomatycznej w Berlinie, której zwierzchnik dn. 27 sierpnia 1939 r. — na trzy dni przed atakiem — twierdził, iż «Hitler jeszcze nie zdecydował się na wojnę» (dokument nr. 264 francuskiej «Złotej księgi», str. 274).

Okazuje się jednak, iż rzeczy oczywistej, która ma na celu dowiedzieć, że winę za wywołanie wojny ponosi Francja, i to dlatego, że już w kwietniu 1939 r. była gotowa do zbrojnego wystąpienia w obronie Polski — jak to w tytule do noty polemicznej, rozestawionej prasie przez urzędowe «D. N. B.», obwiesić «Völkischer Beobachter».

Naczelna teza rozumowania niemieckiego na temat «winy za wojnę» jest «bezsporne prawo Niemiec do opanowania Europy wschodniej», przyczem zakres tego pojęcia geograficznego — bardzo precyzyjnie rozciągłszy — nie jest sprecyzowany ani od północy, ani od północy, ani nawet od wschodu.

W szeregu komentarzy i przypisów do not i listów dyplomatycznych wyjaśnia się raz po raz w stylu przesłankiety i braku megalomanii, zachęty i serja elaboratorem polemiki — że «Fran. z dnia 27 września 1938 r. (Monachium) zgodziła się na wydanie Europy wschodniej w ręce Niemiec i to nawet przez «zlikwidowanie przyczyna swego z Polską», uważanego przez Ribbentropa «za pozostałość systemu wersalskiego, od którego Niemcy w ten czy inny sposób muszą się uwolnić».

Wyraziwszy w ten sposób własne życzenia, przypisuje je do «Auswärtiges Amt» przy pomocy serji fałszerstw, polityce francuskiej jako jej własne tezy, podpisując je «od października 1938 r. tendencja odwrócenia się od Europy i zwrócenia zainteresowania w stronę posiadłości zamorskich». Przygotowywany w ten sposób grunt, skłoniwszy czytelnika niemieckiego do uwierzenia w to, że i poza Niemcami uznano już niemieckie prawo do rabunku, rozboju i zabójstwa, występuje serja elaboratów polemicznych w dwóch kolofonach do noty z oskarżeniem Francji o winę za wywołanie wojny, bo w kwietniu 1939 r. minister marynarki p. Campinchi oświadczył prywatnie pewnej osobistości, iż Francja gotowa jest do zbrojnej pomocy Polsce, gdyż zabór Czech nakazuje stanowcze przeciwstawienie się dalszej ekspansji hitlerowskich Niemiec.

To proste, zawierające treść bezspornie zgodną z wszystkimi francuskimi deklaracjami publicznymi i oficjalnymi, oświadczenie ministra Campinchi podane jest w tonie triumfalnym aż w trzech pismach niemieckiego chargé d'affaires w Paryżu oraz w jakimś raporcie nieznanego agenta, przedstawiającego je jak gdyby było «niedyskretyj», powołania przez członka rządu francuskiego. Uzminkowane jest to zdanie ministra Campinchi na niezwykłą do doniosłości — że «zbył zdawać na niej twierdzenie najbardziej ujmujące, to właśnie, które adresujemy rządy do psychologów i medyków, aniżeli do historyków, a które głosi: — Francja «nosi winę za wywołanie wojny, bo nie dała Niemcom rozprawić się z Polką»!

Przetarcie ręką czoła nie pomaga. To nie tylko logika przestała w Niemczech obowiązywać. Zaszło coś więcej. Coś co pozwala uważać przeciwstawienie się rabunkowi i morderstwu za rzecz niedopuszczalną, niemierną. Coś co słuszność przyznaje łudźcy i miota się w obrębie na tego, który chwytą za rękę rozbójnicę, położoną na gardle szabszego.

Prawda, faktyczny stan rzeczy, nie grają oczywiście żadnej roli w tej sarabandzie cynizmu, którą nawet w dokumentacji dyplomatycznej przetaktują twórcy nowoczesnej psychiki niemieckiej.

Mimo tego bowiem, iż z nią polemizują, nie wspominają mianowicie o tym polemicy niemieckiej ani słowem o tym co mówią dokumenty «Złotej księgi»:

1) że polityka francuska nie pozostawiła nikomu wątpliwości co do swego nieustającego zainteresowania europejskim wschodem;

2) że minister Bonnet od października 1938 r. do marca 1939 r. nie przestawał przynaglać do Ribbentropa do wykonania monachijskiego przewrżenia gwarantów dla okrojonej po sudeckim kryzysie Czechosłowacji;

3) że «Auswärtiges Amt» miesiącami zwlekało z udzieleniem odpowiedzi — odmownej — na ponawiane démarchy ambasadora Coulonre'a;

4) że minister Bonnet właśnie w rozmowie z Ribbentropem w Paryżu dn. 6 grudnia 1938 r. donosił o zagwarantowaniu nowych granic Czechosłowacji i

rownocześnie formalnie wyłączał z kompleksu zagadnień niemiecko-francuskich stosunki Francji z Polską;

5) że Francis Bonnet dn. 27 stycznia 1939 r. (Ribbentrop był tego dnia w... Warszawie), koncentrując na publicznym posiedzeniu izby deputowanych niemiecko-francuskiej deklaracji nieagresji, mówił: «...trzeba skłonić do legendy, głoszącej jakobyśmy wyrzekli się naszych zobowiązań na wschodzie Europy, klóremy przyjęli wobec Polski... Zobowiązania te istnieją nadal i będą wykonane w duchu takim, w jakim zostały powzięte».

Nie wspomina się o tem, że kiedy w czerwcu i lipcu 1939 r. sytuacja w Gdańsku zaczęła się gwałtownie pogarszać, minister Bonnet, zarówno w urzędowych rozmowach z ambasadorom Rzeszy hr. von Welczeckiem, jak i w liście prywatnym do Ribbentropa, mówił i pisał, że «Francja nigdy w żaden sposób nie dała Niemcom prawa sądenia, iż przestaje interesować się wschodem europejskim lub wyzreka się związków sojuszniczych z Polską».

System przemilczeń — obok systematycznych fałszów — stanowi część składową mechaniki propagandy hitlerowskiej i stosowany jest bez skrępowań w elaboratach, pretendujących do miana «dokumentacji dyplomatycznej».

«Wielką ponosi odpowiedzialność za to co się dzieje, niemiecka myśl filozoficzna. Wydzielone przez nią trucizny przeniesione zostały przez atakujących Hitlera zwichniętych intelektualistów i niedouczone w masę niemieckie. Zwulgarowane, uproszczone doktryny teoretyków siły i gwałtu, historyków supremacji niemieckiej, adeptów późniejszego obrazoburstwa i poganiństwa, szereg spustoszenia w ludzkości» — pisze René Pinon w «Revue des Deux Mondes».

«Spustoszenia w ludzkości» przekroczyły już chyba nawet rozmiary spustoszenia materialnych, które szereg apostołów zła «Zwulgarowane doktryny filozoficzne» wymiotły z nich nie tylko moralność, ale i elementarne, ludzkie uczucie i wdzięku.

Oto w umęczonej Warszawie sprzedaje się na ulicach «Warschauer Zeitung», a w «Warschauer Zeitung», «dowcipna» kanalia drwi z nędzy, pisze «zabawne» feljtony, a jeden z nich pod bardzo widac zabawnym, długim tytułem «Bahnhofwirtschafstesteeumrührer». Temat wspomnianego feljtoniku, to opis «jak to małe polskie, śmiardzące Kutno zrobiło karję światu», bo kiedy zostało zburzone docna w czasie bitwy, która się pod niem toczyła z armją gen. Kutrzeby, wymieniły je wszystkie gazety świata». A dalej — że na tych ruinach Kutna — istnieje półwalony dworzec, a w nim jakieś biedaki w nieopalanym pokoiu sprzedają podróznym gorącą herbatę i z tego ciągną jakieś «środkii utrzymania». Ofiż szlagien zabawne jest dla feljtonisty «Warschauer Zeitung» to, że w tym stacyjnym «bufecie», z którego oni przecież sami, oni, Niemcy, wszystko zabrali, że w tem mieście, które oni przecież zburzyli, że w tej nędzy jest... jedna tylko lżyeczka do herbaty. Pointa feljtonu na tem właśnie polega, że jest niedzard, człowiek stary, który w bufecie stacyjnym w Kutnie otrząmując kromkę chleba za to, że przez całą dobę zajmują się mieszaniami herbaty w szklankach ludzi odwiedzających bufet kutnowski.

Jest ich dużo, bo i z ruin miasta przychodzą się ogrzać. Różni przychodzą. A niedzard nie wypuszcza z ręki jednej w Kutnie lżyeczki do herbaty, krząy go dżmami po zadwójnej i od ciał ludzkich ogrzaną jej lżyę, każdemu miesza herbatę i to jest jego zawód — zaśmiewa się «niefrasobliwym śmiechem» lładak z «Warschauer Zeitung» — bo widział kto kiedy taki śmieszny zawód: — «Bahnhofwirtschafstesteeumrührer»...

Czyż da się, «za słownictwem lekar- skiem, znaleźć określenie takiego stanu u myślow?»

OBSERVER.

NIEMCY ZBLISKA

Wypada zacząć od stwierdzenia, że Niemcy z każdej odległości budzą odrazę. Inna jest jednak ona gdy śledzimy ich spoza tańca fortec, obsadzonych milionem uspaniałego żołnierza, inna — gdy tkwimy w paszczy rekina. Inaczej wygląda potworne kły wygodzonej bestji, podpatrywanej przez gazetowy peryskop, inaczej — gdy się przypoczepi tuż u ich korzenia. Zgola czem innem jest daleki pomruk zwierza, trzymanego za krata, czem innem — obydne kłapanie, rozlegające się tuż nad uchem.

Przez szereg tygodni miałem sposobność przysłuchiwać się Niemcom zbliska. Widziałem ich podczas pochodów wojennych i na tyłach, z bronią w ręku lub na odmięcie z kufem piwa czy kiełbaszką wódkę. Prowadzą na żołnierzy i ciurów — nie wiem, których jest więcej.

Pragnę napisać o ciurach. Wojsko frontowe przeszło jak burza i szybko zostało wycofane z terenu okupacji. Tamci są w szałkach odniam, wcepili się w naszą ziemię z tępa zajadłością pasorazja. Uczynili wszystko, by nam uaoocnić nie tylko straszne cechy zdziczonego narodu, ale także rozkład toczący jego wnętrze.

Ryba spusy się od ogona; jeśli chodzi o Niemcy, głowa też nie jest w porządku. Coprawda, nie znam Niemców hitlerowskich — może tak było od początku. Teraz jednak znaleźli pole do prawdziwego popisu. Nie tylko krwawym okrucieństwem, terrorem zbestialonego bezkarności zwinęła, ale użelaskiem światłotem «drobnego biesa». Pastwił się na bezbronnym, ukrośił i uchtł się nie brzyknoś ujmij pachotom Hitlera. Chętnie białą łopatką, zadobalając się nieraz trzecią częścią żądanej sumy. Nawet w tem zacięciu twarzą nieustraszył się przystupku oficyera z wielkiej wojny. Kosmiczna szofałowca wodza zgnoła ich dusze do reszty.

Zarząd Krakowa postanowił nauczyć mieszkańców miasta poprawnego kręcenia po ulicach. Rozlepiono na murach odpowiednie rozporządzenia w dwóch językach: «krajowym» i tym przekłętym. W miejscach duzego natężenia ruchu ustawili się osobnik z «Verkehrspolizei» w bruno- nym płaszczu i czarnej myjce na głowie. Między nogami bełetał mu się biały drzątek z kółkiem, uwieszony u pasa.

W godzinach rannych stąpają panował nad sobą. Starali się objaśnić przechodzącym, prowadził do rozlepionych ogłoszeń i kazal im czytać tekst przepisów. Koto południa wpadał już w furję. Niewinnych ludzi deptał kutym butem po nogach, kładł spychał z powrotem na chodnik. Kłó- nie w pierś kłótkiem. Kobieta chwylała nos i ścisnąjąc go w palcach wódt wośrd młoczącego tłumu, pieniać się i krzycząc. Wybaczyć jednak hoście do zamitowanie do rynku, skoro ich bóg objawia się jej w aureoli uraski. Niema w obecnej chwili żadnego wyłączenia wśród kregowców, którzy tak bezdenie gupio zarykiwało się na śmierć. W tych brulających krzykach brzmie poza nieartukulowaną fanfarą okrucieństwa przeróżne języczne wlosy, lek zwierzenia prowadzonego do reżeni.

Toteż w miastach i wsiach, zamit ukaże się mundur barwy żgnitego agrestu, dobiega szposzonych obywateli niebosiężny bajkulo lub reżenie «nordyka», uapniającego swoją rasę. Związka skoro z polskich ziemianków pedzona gorzka zaczęła mówić. Najgorzej, że nieudawano czy to bucha z niego ruki, czy zarłocznosci, czy wró- nie szlachli! Czem zakończy się ta furja, wybitnie, samorzutnie, ten rozdzierający uszy samowolny gąrdzi!

W październiku przez dworzec kolejowy Krakowa przejeżdżały pociągi z polskimi żołnierzami-łeńcami. Widział peronowcy przesuwający się wagonu towarowego z zaruglowanych drzwiach. Nieraz zatrzymał się taki pociąg i stał przez wiele godzin. Buchał z niego smród. Nie dzie- uano — w ciągu wielu dni ludzi nie puszczano na dwór. Napróżno panie z «Czerwonego Krzyża» prosiły komendanta dworca, by raczył rozkazac, otworzyć

drzwi, a dodamy, że komendant dworca był profesorem hamburskiego uniwersytetu.

W większych osiedlach, a przede wszystkim w Krakowie, roi się od najprzeróżniejszych formacji okupanta, mundurów różnie wymyślonych jak szkaradnych, cywilów o podejrzanym pysku, wdzających się w zielonych lodenach, w kapeluszach z piórkami i butach z cholewami. Od wczesnego rana toczą się w sklepach, najbardziej — w szynkach i kawiarniach. Olbrzymi procent, to podeszłe wiekiem roczniki, dość spierzniaczi, wcale nie bojownicy element; ten oto tłum i bruchaty podoficer ledwo ślapa na swoich «plafusach», łamtego możemy podejrzewać o hemoroidy, z taką bowiem dystynkcją i ostrożnością umieszcza swój kuper na krześle. Tym panom, pamiętającym jeszcze Ludwika, Hessen-Nassau, zależy tylko na żarciu i «trunkowości», osobistym bezpieczeństwie i przetrwaniu wojny w jakimś zakątku Polski, zdala od Zygryda, Adolfa i frontu.

Nie jeden z nich przy sposobności przyni- nięta się przedstawicielem podbitego narodu, daje do zrozumienia, że sam jest pokrzywdzony. Wypnętra się ze swych trosk o był niemieckiej ojczyzny, czekając na jakieś słówko z naszej strony, jakieś zapewnienie, że w ostatecznym porachunku pozwolimy mu cato unieść głowę.

Młodzi zaś są jeszcze bardziej gupi. Dziwo- ują się, że nie witali ich ze złami wdzieczności, za uwolnienie nas z jarza Angli- j. Niosa nam przecież co tylko małą naj- lepszego: powidziwą kulturę, porządek, ład. Są zwiastunami prawdziwej wiosny, objawianej przez ich wodza, boga-kaprala Chętelny nam przychylili nieba, coprawda z Dachau, ale zausze...»

Dopiero gdy pojawia się przedstawiciel «Gestapo», oblatuje każdego zimny mróz. Nawet tych tam — myszujących po mie- ście Niemców. Na czarnych otokach czap- ke trupa głowa, twarz... lepiej na nią nie patrzeć, krok dyktatora. Mam wrażenie że sam Hitler ma przed nim «pietra».

Wśród tej czeredy tawo wymiwił Au- stryjaków. Bardziej do ludzi podobni,

Są ludzie i po- korni.

W biały dzień broniliśmy się wzgardą, która nas rozpiara na widok tej hototy. O! — lacy podli, mali ludzie. Lecz skoro nadzista noc, ciemna listopadowa noc, gdy nagle krąk lub łomot zetłem podku- kanych białorobów, zrywający się z kamien- nego bruku ulicy, budził nas ze snu, wtedy spadał na nas upiórny gład rzeczywisto- ści — jesteśmy w mocy uroga!

Nastuchujemy przyciętani w futrynę okna. Czas przelać się w nieformalnych brulach poprz nas. Ulica zaczyna cich-nąć, i w pustkę uspięnoego miasta wkra- ca onmiędzy przedwsi!

Nie tak łatwo jednak poruaca serc spoj- szony biciem umęczonych serc. Myśl, zdaw- uona przedtem drażniącą czujnością, roz- preża się i poczyna wypielniac świat. Zwolna, z głębin świadomości, zdwiga się uosawa dłań przerażenia i chwytła nas za ktań.

— Czy rozumiesz, — szeptał przestrzeń milionem ust, — komu podlegasz, czym jestes niewolnikiem, czyje oczy spoglądają na ciebie nie spleta żadną granicą, nie oddzielone betonem i twardą, pożogą ogni- zaporywiek? Jesteś bezwolnym ścierwem w rękę czarna i rakacza — możesz się osiągnąć jednym rzutem struku, wy- puszczonego z kosmatej tapy. Zagarnęło cie niekto bezprawia, którego on jest bo- giem!

Wreszcie zjawia się dzień, i w jego świetle nikną Koszar Belzebuba. Znowu małał do wymiarów pospolitego skorpiona. Znowu groza zamieniała się w obrzy- żenie.

MARCELI TARNAWA.

NA MARGINESE „ZÓLTEJ KSIĘGI”

OD EURYPIDESA DO WALLACE'A

Współczesność gotuje nam coraz więk- szę niespodzianki. Biorąc do ręki «Złotą księgę» myślałem, że spotkam się z kompilacją suchych not dyplomatycz- nych, nudną i zakurzoną, jak filmowy ty- godnik aktualności z czasów pokoju, w którym szablonowe odstąpienie pomni- ka walcząco o lepsze z banana jakichś regat wioślarskich w Nowej Zelandji. Do- tychczas odnosiłem się do sceptycyzmem do tego rodzaju publikacji. Byłem bowa- niem przekonany, że owe «Złote», «nie- bieskie», «pomarańczowe» i inne bajecz- ne kolorowe «księgi» służą wyłącznie do zamaskowania zakulisowych machinacji mafij wyfraczonych augurów i stanowią mniej lub więcej zręczne alibi, przy któ- rych pomocy dyplomacja usiłuje szarej masie smiertelników ułatwić przeknięcie jakiejś kapitalnej gaffy. Przyznaje: pomy- liłem się. Francuska «Złota księga» ani nie przynajca wypadków, ani nie stara się zasugerować czytelnikowi komenta- rza. Jest ona chronologicznie i bezinteres- nowym sejsmografem napięcia, diagram- nem notującym dzieje pewnej zbrodni od chwili kiedy myśl o występk zakieko- wała w mózgu gangstera, aż do chwili je- go wykonania.

Nie zajmuję się teraz stroną polityczną ogłoszonych przez rząd francuski dokum- entów. Ktoś powiedział, że polityka jest najwyższym szczeblem w hierarchii sztuk pięknych. Nie będę kruszzył kopij o traf- ności tej definicji, mimo to jednak muszę stwierdzić, że w «Złotej księdze» — do- kumencie par excellence politycznym — znajdujemy elementy artystyczne, natra- fiamy na spłat zagadnień moralnych i psychologicznych. W danej chwili interes- uję mnie owe pierwiastki ludzkie, arcy- ludzkie «Złotej księgi»: surowy patos wy- mienianych depeż, których styl chce być zwieziły i oszczędny, a których akade- miczka czystość nabrzmiewa resonansem rosnącej katastrofy; wspaniałe zarysowa- nia się atmosfera wzmagałocą się na- pięcia; walek i zreczy się chciało — kryminalno-sensacyjny, czyniwy z tej książki najbardziej pasjonującą lekturę jest przestrzeni ostatnich kilku lat, a przede- wszystkim ów niesfalszowany akcent prawdy i jakiejś tragicznej beśzności wobec grozy piątrzących się wypadków, które jak w antycznej tragedji pięknieją i rozkładują się wreszcie w straszliwym «ecatharsis» w pamiętnych godzinach nie- dziei 13 września.

Dziwna, bardzo dziwna książka, która jakby wyszła spod pióra spółki auto- ryskiej: Eurypides i Edgar Wallace. Wszy- stko bowiem tak wygląda, jakby nad- redakcja tego bez wątpienia najciekawsze- go dokumentu pierwszej połowy XX stule- cia współpracowali twórcą tragedji greckiej, granyych przez dwudziestoma pięcioma wiekami w amfiteatrze ateńskim i niedawno zmarły autor doskonałych po- wieści kryminalnych. Oto ślady Eurypide- sa w «Złotej księdze»: atmosfera jest tragiczna, protagoniści dramatu wyrażają się w monologach, przedrażających się chwylami w salwy pytań i odpowiedzi «chrypych i urywanych jak szczeniak karabınów maszynowych, krótkie spiecia grozą eksplozją, chmura ciężarą katastro- fą zagęszcza się, strwożony świat mil- czy jak chór grecki. Niema wprawdzie koturnów, ale są zastępy, bolesne na- pięcie i ugrzeżzone maski blądych jak kreda ministrów i ambasadorów, niema jęności akcji, miejsca i czasu, ale nad- głowami aktorów wisi fatalność, złowiesz- ka i przytłaczająca jak «mojra» i jak la- wina. Oto jedyna chwila, w której up- »

Ministère des Affaires étrangères. Le livre jaune français. Documents diploma- tiques 1938-1939. Pièces relatives aux négo- ciations et aux négociations qui ont précédé l'ouverture des hostilités entre l'Allemagne d'une part, la Pologne, la Grande-Bretagne et la France d'autre part. Paryż, 1939; str. XLII i 1 n. i 431 i 1 n.

Czytając poszczególne dokumenty «Zół- tej księgi», odnalazłem w nich ten sam podskórny puls, to samo narastające tempo, jakie nurzyliśmy w wydarzeniach, któ- re przeżywaliśmy w przetrzeni ostatnich osiemnastu miesięcy. «Kawalierka» i mro- chijska otwiera «Złotą księgę» jak uwer- tura z opery Wagnera. «On n'a pas pu fortifier la justice, on a donc justifié la force» — powiedziałby Pascal. Gromy zdają się cichnąć, podpisanie wspólnej franco- rusko-niemieckiej deklaracji z dn. 6 grud- nia 1938 r. stanowi najbardziej idylliczny epizod nabrzmiewającego dramatu. Atmo- sfera jest jednak daleka od zupełnego o- czyszczenia. Dn. 15 marca 1939 r. uderza pierwszy piorun. Dusznosc rośnie, zdra- leka dochodzi jakby potęgający się los- kot tysiąca bębnow. Zbliża się wreszcie ostatnia dekada sierpnia, kiedy powietrze jest już nie do znieśnienia, kiedy nagroma- dzona elektryczność nie pozwala oddy- chać, kiedy co kilka godzin rzucały się na kolejne wydania gazety, szukając na- wiewi dą, dręczące nas pytania w de- peszach Havasa i Reutersa. «D. N. B.». Ten «sam trwożny rytym odnalezłem w końco- wych dokumentach «Złotej księgi», uir- zym poprzez nie jak dyplomaci francuscy i angielscy toczyli wprost nadadzką wal- kę z czasem niosącym krew i dramat, za- dzwiewać mi w uszach warkot samolotu unoszącego ambasadora Hendersona, do- strzęgiem blade i niewspiane twarze mi- nistrów zawieszane przy aparatach tele- fonicznych. Obrazy galopują biczowane coraz bardziej gorączkowym rytmem, wreszcie nadciąga kawalkada ostatnich kilkunastu godzin, obłędna sarabanda, której organizm ludzki nie może wprost przetrzymać, koszar, który musi się skończyć:

I wreszcie kulminacyjna scena: sły- na rozmowa Ribbentropa z Henderso- nem, której każdy szczegół wrywa nam się w pamięć, słyszemy tonację głosu» ob- udytomatów, ich chrząknięcia, szelest za- mykania i cętki, skrzyśy ostawionego «krzesła, trzask zamkniętych drzwi, zamy- kających również naszą nadzieję. Na tem kończy się «Złota księga».

Epilog? Rozgrzewa się on obecnie. Gdy- pisze te słowa, dochodzi mnie głos szred- dawcy gazet: «Ostatnie wydanie! Z ko- munikatem! Niewiadomo kiedy przekroc- zylimy próg położony między naszym poprzednim życiem, z jego drobnymi ni- ciechami i troskami, a nieznaną krają czwartego wymiaru, karabınów maszyno- wych i Anokalipsy. W prawu tiam» zamiast «ometriji Euklidesa i kraju tiam», panuje geometria stalowego wylisku i pra- wo niezłomnej woli. Wiemy już o co idzie: jest wojna, która albo wywróci, albo przestaniemy istnieć jako ludzkie wo- ni. Dokumenty zebrane w «Złotej księ- dzie» umacniają nas w wierze że do na- rzucenia nam walki przystąpiłmy z czystym sumieniem.

ADAM STERBAŁA.

JULIUSZ GROT.

UWAGI O WOJNIE

Rozważania taktyczne i strategiczne

Wojna toczy się już od sześciu miesięcy, i dla oka postroznego obserwatora wszystko jest całkiem inne, niżli ongi by- walo. Niby, jak mawiali uczeni w Pismo- nie, zasady strategii są wieczne, tymcza- sem wygląda, że jest inaczej. Intensywno- ści działań w wojnie polskiej, sposoby stosowane przez Niemców, któreby nie tylko stary ale i młodszy Moltke nazwał warjackimi — wprawily w zdumie- nie cały świat interesujący się teorją wojny i taktyki i strategji. Z drugiej zaś strony giuche milczenie, jakie panuje na froncie zachodnim między dwoma mura- mi z rozmiatanych arcytajemniczych beto- nów, uraga, pozornie wszelkim pojęciom o wojnie. Jedna tylko Rosja wzięła się do wojny po staremu, uderzając — jakby to nazwać można — «na bryk». W efekcie brała w skóre. Tak koniec końcem wy- tworzył się w pojechciu o nowoczesnej wojnie dziwny melik, w którym mało kto się wyznaje.

W istocie rzeczy nie się zmieniło ani w strategii, ani w taktyce, ani w spo- sobach prowadzenia wojny. Nienaruszeni wyszli spod bomb i czołgów zarówno Schlieffen jak i Clausewitz, zarówno Ce- zar jak i hetman Fredro. Zmieniły się tylko formy techniczne.

W czasach ostatniego dwudziestoletnie- go zawieszania breńi, ktoś u nas «pował długo i szeroko o konieczności generalne- go myślenia. Niby że konieczna jest synte- za. Tymczasem człowiek pragnący szczerze stosować ową zbawczą radę, sta- je wobec takiego mnóstwa drobnych zjawisk, przesłaniających całość wydarzeń, że o syntezie wypowiadać nie ma mowy. Do września świat umywał ręce od odpo- wiedzialności, z braku syntezy tłumacząc to, że decyzya wszystkich spław leży i tak w rękach Hitlera. Węć pocóż myśleć i oceniać. Brak syntezy odbił się bole- śnie na wielu meżach stanu, tem bardziej iż pokazało się że Hitler jej także nie miał.

Wprawdzie decyzya wypowiedzenia woj- ny leżała rzeczywiście w ręku Hitlera, ale dalsze jej losy już od niego nie zależały. Wierzącą pewną, że gdyby Hitler mógł uderzyć na Francję i Anglię zaraz po ukończeniu pierwszego epizodu wojenne- go w Polsce, uderzyłby nie czekając. By- ło to logiczne i proste, więcej nawet — dla Hitlera konieczne. Tymczasem nie uderzył i dalej czeka. Dlaczego tak uczyni- li i na co czeka? Dyskutując nad tą sprą- wą, wypilo — kawiarniaczka cała morza ławy i pytanie w dalszym ciągu nie zostało rozstrzygnięte. A jednak od- powiedź na zagadnienie jest prosta: Hit- ler nie uderzył i nie uderza — bo nie mo- że. A dlaczego nie może? Chwilowo dys- kusję nad tem «daczego» pozostawimy otwartą.

Gen. Metsch w «Deutsche Adelsblatts» pisze: «Jeżeli Niemcy pozwolą dokończy sprzymierzonemu ich przewrotowiwa za- czepne, stracą swoje fory w pierwszej wielkiej bitwie toczącej się obecnie woj- ny».

Zdanie bardzo słuszne. Rzeczywiście generalne. Tak również musi rozumować cały niemiecki sztab generalny i tak na- pewno rozumuje. Wątpić należy, by zna- na szlachetność i stała dążność Niemców do «fair play» dyktowała im owo wyeki- kowanie. Wątpić także należy, by Hitler, który wyrzekł niedawno: «Wir brauchen keine Kavaliere», zmienił zdanie i postar- owie: «Zmierze się ze sprzymierzonymi na równych prawach, rezygnując z wszelkich forów». W praktyce jednak wygląda to inaczej: Hitler rzeczywiście zrzekł się ta- row, lecz nie dobrowolnie. W tej chwili zwycięstwo Niemców ma jedynę oparcie w słowie honoru Hitlera że napewno zwycięży, gdyż Bóg jest z nim a codzięć czyjeż jego przy sobie obecność, oraz na przypuszczeniach astrologicznych, że na- rzec jest szczęśliwym miesiącem dla Führaera.

Do zwycięskiej rozprawy, a tem bar- dziej do wojny błyskawicznej, potrzeba koniecznie przewagi sił. Przewaga ta wy- rażać się może albo w liczebności, podob- nie jak u Rosjan, gdzie ilość nie gra roli, albo w wyposażeniu technicznym. Przew- aga musi być absolutna, to znaczy w wypadku niemieckim przewagę trzeba mieć na trzech frontach: lądowym, mors- kim i powietrznym. Wyrażać się ona musi w nasępujących cyfrach: 3 : 1, 2 : 1, 2 : 1. Liczebność zastępuje w tych obliczeniach, jeśli chodzi o armję lądową i fletę, siła ogniwowa. Tak np. pułk kaw- aleryi równa się w sile ognia i bataljono- w piechoty. Jeżeli chodzi o fletę, porów- nywa się kalibry dział okretowych i ton- naż 1 salwy wyrzuczonej z wszystkich dział. W powietrzu sprawdziany te są rzeczywiście bardziej wietrzne i zależą od rozlicznych, a bardzo skomplikowanych danych technicznych. Aparat np. lepie, uderzający i szybszy będzie uległ w walce aparatuw bardziej zwrotnemu, choć nie tak szybkiemu i gorszemu pod względem uzbrojenia. Jednak przyjmując się podana cyfra 2 : 1, w sumie ogólnej liczy eskadr, jest to jednak cyfra orientacyjna.

Tymczasem Hitler nie dysponuje w tej chwili ani większą liczebnością na lądzie, ani lepszym uzbrojeniem, a każdy miesiąc zwłoki pogarsza tylko sprawę na niekorzyść Niemiec. O marynarce szkoda mówić, bo stosunek flety niemieckiej do połączonych flet francusko-brytyjskich, nawet po odliczeniu koniecznych jednostek na strzeżenie wszysk kich mórz świata, przedstawia się jak 1 : 7. Dziś jest rzeczą pewną, że po sześciu miesiącach wojny straty angielsko-francuskie — nawet przy tak intensywnie prowadzonej wojnie pod- wodnej wynoszą dła sprzymierzonych 1/2% ogólnego tonażu handlowego i wo- jennego. W powietrzu stosunek sił będzie w tej chwili niewielej równy, lecz i tu czas działa na niekorzyść Niemców, gdyż

W tym celu nie należy zapominać, że Niemcy, którzy w chwili obecnej posiadają przewagę w powietrzu, nie są w stanie wykorzystać jej do końca, ponieważ ich siły powietrzne są zbyt słabe, aby mogły wykonać skuteczne uderzenia na lądzie, a ich samoloty są zbyt mało odporne na uszkodzenia, aby mogły przetrwać w trudnych warunkach walki powietrznej.

Wreszcie, Niemcy nie posiadają przewagi w wodzie, a ich okręty podwodne są zbyt mało skuteczne, aby mogły wykonać skuteczne uderzenia na lądzie, a ich siły morskie są zbyt słabe, aby mogły przetrwać w trudnych warunkach walki morskiej.

Wobec tego, Niemcy nie posiadają przewagi w żadnym z trzech obszarów walki, a ich przewaga w powietrzu jest zbyt słaba, aby mogła być wykorzystana do końca. Wobec tego, Niemcy nie posiadają przewagi w żadnym z trzech obszarów walki, a ich przewaga w powietrzu jest zbyt słaba, aby mogła być wykorzystana do końca.

Wobec tego, Niemcy nie posiadają przewagi w żadnym z trzech obszarów walki, a ich przewaga w powietrzu jest zbyt słaba, aby mogła być wykorzystana do końca. Wobec tego, Niemcy nie posiadają przewagi w żadnym z trzech obszarów walki, a ich przewaga w powietrzu jest zbyt słaba, aby mogła być wykorzystana do końca.

Wystawa Marca Chagalla

W galerii «Mai» (12, r. Bonaparte) oglądaliśmy niedawno obrazy Marca Chagalla.

Dzieło Chagalla, to trzydziści lat niestanną twórczością. Przed wielką wojną Chagall przebywał w Paryżu i wchodził w kontakt z poetami, którzy interesują się nowym malarstwem, m. in. z Apollinarem



Okno (1938)

Canadą, Cendrarsem. Dla nich atmosfera małego żydowskiego miasteczka rosyjskiego, którą Chagall w swych obrazach z taką naiwną szczerością oddawał, była zapowiedzią nowej, nieznannej poezji. Przez Gleize'a, Lhot'e'a, Delaunaya, Chagall został przekonany do kubizmu. Jego wybujałą wyobraźnię trzeba było wówczas racjonalnie dyscyplinować plastycznie, pewnego rygoru geometrycznego przy komponowaniu. Lecząc Chagall także kubiśmy przetwarza po swojemu i nagina go do swojego specyficznego liryzmu.

Obrazy z r. 1914, jak «Zyd latający nad Witebskiem», «Modlący się Zyd», są jak gdyby święta jego kolorystycznych, formalnych wysiłków. Obrazy z tego okresu mają kolor świeży, świetlisty, może nieco dekoracyjny, i dobrą budowę. Dużo jest w nich żydowskiego liryzmu, a także pewien akcent słowiańskiej sztuki ludowej (szylidy, malarstwo ludowe).

Już w najwcześniejszych obrazach Chagalla wybijał się element fantastyczny, który w obrazach z r. 1914 doskonale idzie w parze z realizmem oddającym niemałe malarstwo życia. Dzieło Chagalla, to świat widziany przez pryzmat wyobraźni przeobrażonego, przeczulonego żydowskiego chłopca, a marzenia i rzeczywistość przeplatają się tu prawie niedostrzeżalnie. Zwierzęta domowe, kury, brodaty kozioł, osiołek, to jego najbliżej przyjaciele, a nawet sprzęty domowe biorą udział w przeżyciach tego dziecka.

Ta wybujała fantazja, ciągłe przerywanie się do krajin fantazji, do «rzeczywistości smutnej i wesołej», jak to sam Chagall sformułował, oszołomiła Francu-

zów, ponieważ nie dała się pogodzić z ich własnym, racjonalno-mystycznym malarstwem, dążącym do wiernego odwzorowania otaczającej nas natury w sposób konkretny i realny, bez najmniejszej domieszki fantazji.



Wieża Eiffla (1939)

W r. 1935 Chagall udał się do Polski, i podróz ta wywarła na nim wrażenie niezapomniane, o którym dziś jeszcze mówi z rozróżnieniem. Ostatnie jego obrazy dowodzą, że pogłębił on diapazon i świetlistości koloru, a operowanie ostre kontrastami jest śmielsze niż dawniej. Używał efektu wprost aksamiennego przejścia od jednego koloru do drugiego. Jego dzisiejsze malarstwo jest dowodem nie tylko instynktownego talentu malarckiego, ale poważnej wiedzy, opartej na solidnej znajomości wielkiego malarstwa francuskiego.

W scenie cyrkowej (jedną z ulubionych tematów Chagalla) widzimy cyrkówkę w szkarłatno-czerwonej bluzie, stojącą na tle niebieskiej galerii z zielonemi refleksami. obok dzwiennej zielonej figury leżącej z prawej strony i grającej na skrzypcach. W wielkim bukietcie kwiatów doskonale zestawiona jest purpurowa czerwienią, aksamienny fiolet i głęboka ultramaryna. Na dolnym planie obrazu subtelnie szeptają: rozmarzona kobieta w fioletowej sukni i stare domki otoczone różową zorzą Zielony domek podmiejski tonie w zielonym ogrodzie na tle ultramarynowego nieba. Na prawym planie łózko, pokryte czerwioną kołdrą, a na niem obejmujący się kochankowie, nad którymi czuwa anioł opiekuńczy. Dobrze zestrojony jest szaro-zielony ton starych chatuł młodości na tle białego śniegu i niebieskiego nieba z żółtym księżycem. W małym obrazku, przedstawiającym pastuska w karmazynowej bluzie i białych spodniach, grającego na skrzypcach na tle głęboko-niebieskiego nieba i podświetlającego go «po ludzku zielonego kozła, jest pewien akcent słowiański.

Duży obraz p. t. «Ukrzyżowanie przykuła widza swoją niezwykłą treścią. Chagall niewątpliwie namalował ten obraz pod wrażeniem nieszczęścia narodu żydowskiego. Oto bowiem na obrazie Chagalla Zyd w długiej zielonej kapturze z workiem na plecach wędruje w daleki świat. Na

morzu łódź pełna emigrantów żydowskich, szukających przystani, Domy, bóżnice znikają w płomieniach. Więźniowie w obozach Hitlera stoją w niebieskich koszulach. To zdaje się powiadać malarz, naród żydowski od tylu wieków ciągle krzyżowany. «Ukrzyżowanego» nie utrzymał malarz w stylu chrześcijańskim



Trzy świece (1938)

ikonografii, ale dzieło to — przesiąknięte głębokim chrześcijańskim współczuciem — nie jest obce duchowi Ewangelji

FRANCISZEK BIEDART.

W Galerji Barreiro (30, r. de Seine) odbywa się w tej chwili wystawa obrazów i rysunków znanej francuskiej malarzki Madeline Luka. Wystawa ta, artystycznie bardzo wartościowa, ma przystępny charakter: dochód ze sprzedaży dzieł przeznaczony jest na fundusz pomocy dla uciekinierów polskich i czeskosłowackich. Madeline Luka ukazuje szereg postaci kobiecych z Polski i Czechosłowacji, które wylaniają się z jej wyobraźni, owiane romantycznym czałem, i których niedoła głęboko wzruszyła malarzkę francuską.

Maluje, jak zawsze, lekko stylizując, z naiwnością uczuciową i jakby inspirowana anonimowymi, popularnymi litografiami kolorowymi z epoki francuskiego romantyzmu. W jej ogrodach dziecięcych odczuwamy daleki oddźwięk sztuki Rousseau-celnika. Dużo wdzięku posiadają stosowane przez nią tonacje szaro-perłiste szaro-oliviane, szaro-zielone, subtelnie zestawione z przytłumionymi tonami niebieskimi, fioletowymi, kasztanowymi i jasno-zielonymi.

Dużo jest uroku i werwy w jej rysunkach i akwarelach, czasem ma się wrażenie jak gdyby się przesuwały stronicznie ilustrowanych albumów poetów romantycznych.

fb.

NOWE FILMY

MR. SMITH GOES TO WASHINGTON (MR. SMITH ZOSTAJE SENATOREM) (Barritz)

Ataki filmu na amerykański ład społeczny szły zawsze z boku, godziły w sprawy ważne, ale pomniejsze: wieziennictwo, sędziów, bankierów i t. p. Ten film jest atakiem frontowym. Jego celem jest Kapitól w Waszyngtonie. Amerykański senat. Jego zasadnicze pytanie: jak wygląda rzeczywistość demokratyczna? Jak wygląda wolność obywatelska, której patronuje wielki Lincoln?

Mr. Smith, prowincjonalny idealista, dostaje się jako senator na Kapitól. Chce realizować swe marzenia społeczne. I doświadcza na swej skórze, że senatowi największej na świecie demokracji trzęsie czarny charakter, aferzysta, który trzyma w ręce wybrańców narodu pospolitem przekupstwem. Ideologia mr. Smitha ujęta jest raczej symbolicznie, jest to jakiś szlachetny plan wychowania młodzieży — przeciwny tego planu nie są również nazywani po imieniu, demaskowani są raczej moralnie, nie politycznie, raczej jako jednostki, nie jako warstwa. Lecząc walka z przekupstwem, prywata, walka o nienużalność swobód demokratycznych, o czystość demokracji, pokazana jest na najszerszym, najwyraźniejszym planie. Realistycznie i dramatycznie. Wielkie słowo «wolność» bije z obrazów i scen tego filmu mocno i świeżo. I na tem polega jego aktualność. Nie wybiła on demokracji, pokazuje jej niebezpieczeństwa. Lecząc pokazuje także, że naród, który raz doszedł do poczucia wolności i obywatelskich swobód, wzmoczył je sobie po raz dziesiąty i setny i zmiecie ze swej powierzchni żbirów i oszustów żerujących na tej wolności.

Być może, że film ten jest jedną ze strzał, którą rzuca w swe społeczeństwo przyczyniając do jego zmiany.

Konstrukcja filmu jest mocna, prosta i zwarta. Niema w akcji żadnych dodatków «oszczędzających» i dekoracyjnych. Można by ten styl nazwać amerykańskim klasycyzmem. I takie są także zdjecia, bardzo czyste i piękne, niekiedy pełne nastroju, przedzierające się przez nastrojność do symbolu — kolumny Kapitolu w aureoli światła symbolizują wielkość, marmurowa twarz Lincolna symbolizuje niewzruszoną jego ideę — a jednak styl tych zdjec nie jest metaforyczny i dekoracyjny, jest klasycznie prosty i jasny. Tak jasny jak sama idea wolności.

STEFANJA ZAHORSKA.

SERENADE (SERENADA) (Marignan)

Ankieta, przeprowadzona w styczniu przez «Nouvelles Littéraires» w księgarniach paryskich, wykazała, że publiczność wprawdzie mniej książek kupuje niż przed wojną, wybiera je jednak starannie, jakby szukając wartości trwałych, nie przemijających, nie boi się rzeczy poważnych i trudnych.

Podobne zjawisko zauważyć można w kinach paryskich. Pełno w «Studio des Ursulines» z jego żelaznym repertuarem, pełno w kinach dzielnicy, gdzie zobowiązuje można wybite filmy z poprzedniego sezonu, i stosunkowo pusto w salach zeroekranowych, skazanych na premierę, jedną po drugiej.

Łapczywie patrzmy na ekran, chcemy wyłowić z niego bodaj fragment, który byłby wielki, choćby ułamek dialogu któryby był mądry, choćby blysk światła któryby zatrzymał nasze oko.

Jakby za chłodną szybą akwarium rozgrywa się na ekranie nieprawdziwy wyścinek z życia Schuberta — w markowanym Wiedniu, wśród ludzi markujących epokę. I raz tylko owa szybą, ustawioną między ekranem i widownią, rozbiłyśmy i zadziły — gdy pod koniec, w epizodzie, w którym młody Schubert zjawia się u wielkothovena, z ust mistrza padną słowa o wielkości osamotnienia i o łzach, które nie pójdą na marne.

W tym najciekawszym formalnym filmie ten naśladowaniem przeciętnej techniki amerykańskiej — gładki montaż, banalne, niefrancuskie ujęcia i oświetlenia wnętrza, które miejscami próbowało żywić przewiekłą jazdą aparatu.

STEFAN THEMERSON.

ERRATA

W nr. 1 «Wiadomości Polskich» w recenzji jł na str. 15, ssp. 1, nastąpiło wskutek nowego metrapazja powtórzenie wiersza. Wiersz 67 powinien brzmieć jak następuje: «Idealizm Zeromskiego, który przepęd parus»...

W poprzednim 16-stronicowym numerze (1) «Wiadomości Polskich» (31 ilustracja): Ksawery Pruszyński: Literatura emigracji walczej. — Lewitt-Him: L'ordre régné à Varsovie. — Jan Lechoń: Grób Agamemtona. — Julian Tuwim: Na pustyni. — Stanisław Baliński: Koleś Warszawa. — Antoni Stomski: Alarm. — Kazimiera Hlakowiczówna: Dlaczego śpiewam... — Marja Jasnorewska: Wszehmocnem. — Kazimierz Wierzyński: Wróć nas do kraju. — Irena Tuwim: Do wiosny paryskiej. — X. Augustyn Jakubstak: W obronie jednostki.

Józef Wittlin: Dlaczego jestem frankofilem. — Ignacy Matyszewski: U źródeł słabości. — Rafał Malczewski: Bezsilne słowo. — Ruiny Warszawy. — Józef Łobodowski: O sojuszu polsko-niemieckim. — Zygmunt Nowakowski: Dwa koturny. — Aleksander Janty: Forteca frontu. — Korespondencja z linii Maginot. Od pierwszego polskiego korespondenta wojennego na Zachodzie. — Zbigniew Grabowski: Sekret Hitlera czyli niestanipartykuł. — Feliks Topolski: Droga krzyżowa Polski. — Stefania Zahorska: Fragment liryczny. — Inauguracja wykładów na Uniwersytecie Polskim Zagranicą w dn. 22 stycznia 1940 r. Stanisław Stroński: Odwieczne stosunki polsko-francuskie. Stanisław Kof: Co wniosła Polska do kultury powszechniej. — Karol Estreicher: Jak mój ojciec pracował nad bibliografią.

Elita europejska o bestialstwach niemieckich w Polsce. — Jan Adamowski: Biblioteka Polska w Paryżu i jej zadania w chwili obecnej. Rozmowa z dyrektorem Biblioteki Francuskiej Pułaskim. — Jean Malaquis, przełożyła Halina Wierzyńska: Jawajczycy. — Charles Turgot: Reichsbahn. Dialogi niemieckie w latach 1930 i 1940. — Aktualności Polityczne i Wojenne. — Observer: Głosy świata: Ameryka. — J. H. Retinger: Anglia wobec wojny dziś i lat temu 25. — Noksus: Nastroje londyńskie. Proroczy artykuł: Hipotezy Hitlera. — Jł, MT: Teatr Polski we Francji. — Stefan Themerson: Nowe filmy. — Franciszek Biedart: Studcie Claude Moneta. — Michał Kondracki: Małcużyński i Szeryng. — Extraits et résumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro.

W NAJBLIŻSZYCH numerach „Wiadomości Polskie”

drukować będą m. in.: Aleksandra Janty „Życie na froncie”, Marjana Kukiela „Napoleon a dzień dzisiejszy”, Jana Lechonia „Wieś w literaturze polskiej”, Zygmunta Nowakowskiego „Listy z Ameryki”, Hermanna Rauschninga „Zwierzenia Hitlera” (w przekładzie Haliny Wierzyńskiej), H. G. Wellsa „Rozkład komunizmu” (w przekładzie Zbigniewa Grabowskiego), oraz specjalnie dla „Wiadomości Polskich” napisane artykuły: Pierre'a Bernus, Emile'a Buré, Genéviève Tabouis, André Thérive'a.

Extraits et résumés en français des articles paraissant dans ce numéro

Le numéro présent des «Nouvelles Polonaises» s'ouvre sur un poème de M. Julian Tuwim «Historiette rimée sur un père et un fils, sur deux villes et sur une vieille chanson».

La tradition et la nouveauté dans la littérature polonaise

On y relève ensuite le texte en extenso de «La tradition et la nouveauté dans la littérature polonaise», leçon inaugurale faite par l'excellent poète Jan Lechoń, à l'Université Polonaise à l'Étranger, dont le siège se trouve à la Bibliothèque Polonaise à Paris.

Après avoir montré, par de larges et profonds développements, ce que fut le Romantisme polonais, M. Lechoń passe au Néo-romantisme et à son promoteur Wyspiański. Il trace un parallèle entre lui et les Maîtres romantiques, Mickiewicz, Slowacki, Krasiński, en relevant ici et là la présence constante du même esprit, de la même idée fidèle, et note, au surplus, dans l'œuvre de Wyspiański, l'apport de la civilisation occidentale.

«Car c'est un axiome, dit M. Lechoń, c'est un axiome que la Pologne produit des œuvres de la plus haute valeur, lorsqu'elle reste en contact avec l'Occident, quand elle suit un chemin parallèle à celui où passent les grands courants spirituels. C'est alors qu'en gardant la grande route, le long de laquelle elle trouve la mesure et le droit noir fonder la vie polonaise, elle remplit la mission dévolue, sa mission de défendre et de porter plus loin la foi en Dieu et en l'homme, par le truchement de maints et maints bastions, églises, écoles de Cracovie, de Varsovie, de Lwów et de Wilno.

«Ne fallait-il pas tant d'années de séjour de Mickiewicz et de Slowacki à Paris pour que leur œuvre fut une œuvre d'union entre la Pologne et l'Occident? N'a-t-il pas fallu que «Pan Tadeusz» s'imprimât chez Pinard, qu'il Voltair, pour qu'il fût non seulement le plus précieux trésor de notre poésie, mais encore une des plus belles constructions poétiques de l'Occident? L'on pourrait dire que ce n'est qu'en touchant de près la civilisation occidentale que le génie polonais prit conscience de sa particularité, s'appliqua à l'accroître et l'affermir.

«Aussi, les grands Polonais sont-ils toujours des bons Européens».

Suivent: des poèmes de MM. Antoni Słonimski et Szwajcperk Karniński, un fragment du roman de Mme Marja Kuncewiczowa, le feuilleton de M. Zygmunt Nowakowski, consacré au célèbre traducteur de plus de cent volumes de la littérature française, Tadeusz Żeleński (Boy).

La jeunesse d'Angleterre se prépare à la guerre

M. Florian Sokółowski nous conduit en Angleterre, pour nous y montrer la fameuse école militaire d'où sortent les officiers de cavalerie et de la garde à pied.

Quelques jours après cette visite, le publiciste polonais, avec ses confrères étrangers, s'en est allé «quelque part» voir une école encore, ou plus exactement, un camp d'instruction pour les aviateurs. Là, il assiste à une scène fort émouvante: le ministre de l'air Sir Kingsley Wood, qui était venu inspecter le camp, salue la compagnie composée d'officiers-aviateurs et fut salué par elle en polonais, et ces paroles sonnèrent bien étrangement ici, dans ce coin de la vieille Angleterre. La compagnie défilait d'un pas ferme et net d'où se dégageait une impression de force sans forfanterie: façon de marcher que les Anglais ne laissent pas d'apprécier, paraît-il. Sir Kingsley s'arrêta de temps en temps pour échanger quelques mots avec les aviateurs.

«C'est ainsi que M. Juliusz Grot commence son article écrit en marge et à propos du «Livres jaunes» qui, entre mille autres étonnements venus de l'heure, lui apporta de l'inattendu. Au lieu d'une sèche compilation de notes diplomatiques saupoudrées d'ennui et où, d'ordinaire, les faits se trouvent masqués, déguisés, camouflés ad usum, il eut devant les yeux le compte - rendu impartial d'événements successifs, vivants et véridiques, enregistrés avec la précision d'un sismographe qui ne ment ni ne déforme. Au surplus, quel livre surprenant que le «Livres jaunes» composé, dirait-on, «half and half» par le poète tragique Euripide et par Edgar Wallace, maître du roman policier, tant il est passionnant et tant il est pathétique! Et M. Grot de passer de document en document et de les confronter avec la réalité vécue: tout ce qui à sa place et tout est vrai. L'épilogue de l'immense drame dont le déroulement est relaté dans le «Livres jaunes» se joue maintenant. C'est la guerre où se présentent nos destinés au poids de la vie et de la mort. Mais ce que révèle le «Livres jaunes» confirme notre ferme croyance «que nous y sommes entrés la conscience pure», conclut M. Grot.

Chez les jeunes ou les moins jeunes, dans tous les regards, on lit un ardent désir de revanche sur l'ennemi abhorré. Ils n'auront point de cesse qu'ils ne fussent partis aux combats. C'est cela qui leur pèse, cela et le souci de leurs familles restées là-bas, dans la patrie en proie à l'envahisseur.

Mme Hanna Skarbeck-Peretjakowiczowa conte les impressions de son pèlerinage à la tombe de Joseph Conrad, l'illustre écrivain anglais (Polonais d'origine, comme l'on sait) à Canterbury.

Observer, dans ses remarques sur «La loi du brigandage et de l'envahissement», caractérise les méthodes de la propagande hitlérienne.

Les Allemands vus de près

M. Marcell Tarnawa, qui eut la tragique occasion de voir de près les Allemands, soit armée jusqu'aux dents en train de faire leur besogne, soit au repos, ou back

de bière ou un verre de schnick à la main, parle de leurs comportements où la cruauté ne le cède en rien à l'ignominie. Les armées ont passé vite à travers la Pologne, et l'arrière-garde, goujats et trainards de Hitler, restèrent maîtres du pays, en pillant, en volant sans vergogne, chacun selon son goût.

Et la bête déchainée, féroce et stupide qu'est l'envahisseur allemand, hurle à tout propos; et l'on ne sait, en vérité, si c'est la fureur, l'ivresse ou la peur qui beugle ainsi, en pleine insanité.

Cracovie est tout particulièrement en proie à cette domination bestiale qui grouille partout: les civils aux gueules d'aspirants et des militaires déjà sur le retour, bêtes, lourds et bedonnant, vêtus d'uniformes variés remplissent les restaurants et les cafés, s'empressant et se saluant à qui mieux mieux. Ils parlent à la population avec une hypocrisie douceâtre, en bons apôtres. Les jeunes, plus idiots encore, s'étonnent que nous ne les recevions pas en sauveurs — sauveurs de l'oppression anglaise. N'appartent-ils pas la vraie culture, la paix dans l'ordre?... Mais voilà les gens de la Gestapo. Avec eux, la terre passe en trombe, soufflé aussi bien sur les autochtones que sur les envahisseurs, dit M. Tarnawa, avec un frisson d'aversion. D'ailleurs, pour finir, prissions la parole à l'auteur. Il saura au mieux peindre en rouge-sang, en noir de détresse, la situation telle qu'elle est:

«Le jour, nous nous défendons par un hautain mépris, à la vue de cette racaille: ce n'était devant nous, que des êtres vils et bas, après tout. Mais la nuit, sombre nuit de Novembre, lorsque, réveillés en sursaut, nous entendions des cris qui déchiraient les ténébres et les lourds pas des bottes cloutées martelaient le pavé, — c'était alors que nous nous sentions écrasés par la terrible réalité: nous étions sous la puissance implacable de l'ennemi.

«Nous écoutons, tapis derrière la fenêtre close. Le temps roulait sur nous, pesant et solide comme s'il était fait de quartiers de roc; la rue retombe dans le silence, et sur le désert de la ville rendormie se lève une aube livide et muette. Le sommeil ne revient pas pour tant calmer les cours endoloris. Noir, nous pensée, brisée tantôt encore par la panique aux épaules, se déploie maintenant et enlève notre monde. Peu à peu, lentement, surgit du tréfonds de notre conscience la tragique réalité qui nous serre à la gorge d'une étreinte à nous étouffer.

«Est-ce que tu comprends à qui tu es soumis, de qui tu es l'esclave, quels yeux te regardent, toi qui n'es protégé — ar nul frontière, par nulle forteresse, par nul barrage de feu? Tu n'es qu'une carogne entre les mains de satan qui serait aussi un ignoble équarrisseur. Il peut t'atteindre d'un seul coup de fouet à nuud, lancé par sa patte velue. Tu es au fond d'un enfer dont il est le dieu.

«Mais voici le jour, et à sa clarté disparaît le cauchemar de Belzebuth le maître suprême. A présent, il ne dépasse pas les dimensions d'un simple scorpion. Et, de nouveau, la terre fait place à un immense dégoût».

M. Adam Stębała («Notes sur la guerre») parle à bâtons rompus de la guerre, de cette guerre qui, bien que les lois de la stratégie doivent demeurer sempiternelles, aux dires de savants théoriciens, ne ressemble en rien aux précédentes.

D'Euripide à Edgar Wallace

«Le temps présent nous ménage des surprises, de jour en jour plus grandes» — c'est ainsi que M. Juliusz Grot commence son article écrit en marge et à propos du «Livres jaunes» qui, entre mille autres étonnements venus de l'heure, lui apporta de l'inattendu. Au lieu d'une sèche compilation de notes diplomatiques saupoudrées d'ennui et où, d'ordinaire, les faits se trouvent masqués, déguisés, camouflés ad usum, il eut devant les yeux le compte - rendu impartial d'événements successifs, vivants et véridiques, enregistrés avec la précision d'un sismographe qui ne ment ni ne déforme. Au surplus, quel livre surprenant que le «Livres jaunes» composé, dirait-on, «half and half» par le poète tragique Euripide et par Edgar Wallace, maître du roman policier, tant il est passionnant et tant il est pathétique! Et M. Grot de passer de document en document et de les confronter avec la réalité vécue: tout ce qui à sa place et tout est vrai. L'épilogue de l'immense drame dont le déroulement est relaté dans le «Livres jaunes» se joue maintenant. C'est la guerre où se présentent nos destinés au poids de la vie et de la mort. Mais ce que révèle le «Livres jaunes» confirme notre ferme croyance «que nous y sommes entrés la conscience pure», conclut M. Grot.

Les comptes-rendus des expositions (Marc Chagall), des concerts et des films nouveaux ferment le numéro de notre publication.

Redaktor: Zygmunt Nowakowski

Le gérant: Gabrielle Ricordeau

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ÉTOILE 18-20, Fbg. du Temple, Paris (11^e)

MUZYKA W PARYŻU

KONCERT FRANCUSKO-POLSKI

Sala towarzyszywa «Conservatoire» w Paryżu udziałała gościnnie posikim muzykom-emigrantom w osobie Grzegorza Fitełberga i Henryka Szerzynga. Zapropnowano Fitełbergowi koncert symfoniczny, który, w miarę opracowywania programu — rozrósł się do rozmiarów wielkiej manifestacji polsko-francuskiej pod protektoratem Yvona Delbosa, ministra oświecenia publicznego Francji, i Augusta Zaleskiego, ministra spraw zagranicznych Polski.

W ten sposób trzecia skolei emigracja polska w Paryżu zabrała głos w zakresie muzyki, nawiązując, dzięki gościnności gospodarzy, przerwaną łączność z krajem, gdzie, jak wiadomo, zamarł ruch koncertowy kompletnie. Coś jakby cząstka Filharmonii Warszawskiej — w chwili obecnej zniszczonej i zycznej — przeniesiona została do sali paryskiego Konserwatorium.

Już sam fakt zaoferowania batuty kapelmistrzowskiej artystyce tej miary, co Fitełberg, zdecydował o fizjonomii koncertu. Ci, którzy znali dotychczasową wieloletnią działalność tego wybitnego dyrygenta i mieli w pamięci jego zupełnie wyjątkowe zasługi położone dla propagandy współczesnej muzyki polskiej, przyjęli wiadomość o jego powrocie do aktywnego życia z entuzjazmem. Nikt bowiem bardziej od Fitełberga nie był powołany do reprezentowania na estradzie polskiej literatury symfonicznej. Fitełberg, niestrudzony propagator Szymanowskiego i najlepszy jego wykonawca, umieszczył w programie drugi koncert skrzypcowy, do którego odegrała zaprosiła młodego świątecznego skrzypka Szerzynga. Było to, rzecz jasna, wielką atrakcją wieczoru i «gwóździem» programu.

Choć II koncert skrzypcowy Szymanowskiego nie dorównywał I pod względem polotu i potęgi natchnienia, posiada jednak swoje niezaprzeczalne wartości i w dorobku autora «Harnasiów» stanowi ciekawą pozycję, charakterystyczną dla ewolucji jego stylu z ostatnich lat życia. Folklor górski stał się organiczną częścią składową inwencji genialnego kompozytora, wszedł niejako w krew jego muzyki, zasymilował się z jego indywidualnością, podobnie jak to się stało u Strawińskiego w stosunku do folkloru rosyjskiego («Petruszka», «Weseles») lub u Falli — w stosunku do hiszpańskiego. Szymanowski zakończył swój rozwój zaakcentowaniem elementu polskiści w swej sztuce mającej jednocześnie wszystkie znamiona międzynarodowe.

Do powstania II koncertu przyczynił się w niemałym stopniu Paweł Kochański, z którym Szymanowski już przedtem niejednokrotnie współdziałał («Mity skrzypcowe»). Dzięki temu partia solowa obfituje w przemysłne i kunsztowne arkany wirtuozowskie, z których młody interpretator dzieła Szymanowskiego, Szerzyng, wyszedł zwycięsko. Pokazał on, że jest nie tylko dobrym technikiem i poważnym

muzykiem, ale także subtelnym artystą, umiejącym zrozumieć i odczuć piękno sztuki najwyższego gatunku.

Inną atrakcją programu była znana już dobrze i powszechnie ceniona «Uwertura» Szałowskiego, kompozytora wysoce utalentowanego, posiadającego własne oblicze i spory dorobek artystyczny w dziedzinie kameralnej. Pomimo iż «Uwertura» jest jego pierwszą partyturą, należy ją uważać za najbardziej udaną, dzięki jej



Grzegorz Fitełberg

walorom formalnym, tematycznym i instrumentalnym. Zdrowy rytm, kapitalny humor i mistrzowskie operowanie orkiestrą ukazują rasowego kompozytora o ścisłej wiedzy i solidnych podstawach teoretycznych. Na tle współczesnej muzyki polskiej twórczość Szałowskiego odcina się jaszkawo jako zjawisko zupełnie nowe, nie mające nic wspólnego z żadnym epigonizmem.

Utworem, wykonanym po raz pierwszy, były moje «Epitafje», o charakterze jakby intymnym, świadomie utrzymanym w stylu półkameralnym i stosowanym kolorystyce. Kompozycja ta powstała na krótko przed wojną jako wynik, być może, niejasnych przeczuc i niepokojów wewnętrznych; andante o nastroju kontemplacyjnym i marsza żałobnego. Staranne wykonanie uwytkliło smutną aktualność tej muzyki w chwili obecnej.

Pełne uznanie należy się doskonałej orkiestrze Konserwatorium, która pod wirtuozowską batutą Fitełberga odegrała, oprócz trzech wymienionych polskich utworów,

trzy dzieła mistrzów francuskich: uwerturę «Benvenuto Cellini» Berlioz'a, «Walcze szlachetne i sentymentalne» Ravela oraz «Popołudnie fauna» Debussy'ego.

ORATORJUM «JOANNA NA STOSIE» HONEGGERA I CLAUDELA

Inspiratorką tego dzieła była Ida Rubinstein. Po pamiętnym «Meczenstwie św. Sebastjana» z muzyką Debussy'ego przyszedł skolei pomysł «Joanny na stosie», którego realizacji poetyckiej podjął się Paul Claudel, muzycznej zaś — Arthur Honegger. Współpraca tych dwóch wielkich artystów dała wyniki rewelacyjne. Nowe oratorjum chwilami zbliża się do tragedji greckiej, chwilami — do commedia dell'arte, poczęte zaś jest w duchu surrealizmu i ekspresjonizmu. Stanowi więc w swoim rodzaju unikat w literaturze wokalnno-symfonicznej.

Osią akcji, toczonej się na estradzie, jest głównie postać Joanny na stosie, przeżywiającej swe dzieje — przeszłe i teraźniejsze — w skrócie dramatycznie. Przed męczennicą wznoszą się postacie realistyczne i alegoryczne, przybierające kształty zwierząt (Lis, Waż, Osioł), królów (Pył, Skąpstwo, Nierzytka) i świętych (św. Katarzyna i Małgorzata). Głosy z nieba wzywają Joannę do złożenia ofiary swego ciała «bratu ogniu». Ojciec dominikanin wskazuje Dziewicę drogę do niebios, a chór recytuje w chwili śmierci męczennicy słowa otuchy: «największą miłością życia oddać życie za tych, których się kocha».

Honegger zilustrował akcję poetycką środkami muzycznymi, niejednolitemi pod względem wartości artystycznej. Momenty natchnione, jak np. partje chóru, pisanie po mistrzowsku, szereg fragmentów wokalnych (głosy z nieba), sąsiadują z niewybrednymi, a chwilami nawet trywialnymi koncepcjami, dla których trudno jest znaleźć wytumaczenie, poza hipotezą, że są to próby oddźwięnienia ówczesnego rubasznego folkloru. Swoisty ten mimodramat pozostawia słuchaczowi pewne wątpliwości, przede wszystkim jeśli chodzi o muzykę Honeggera, który jest badczobądź najwybitniejszym z żyjących kompozytorów szkoły francuskiej. Kredyt jego, oparty na tak potężnych dziełach, jak «Król Dawid» czy «Pacyfik», każe wierzyć, że w twórczości tego wielkiego muzyka nie mogą się zdarzyć momenty epuszczoności i że pozorne niedociągnięcia są raczej wynikiem bardzo osobistych kanonów estetycznych.

Wykonanie «Joanny na stosie» w sali Pleyela było imponujące i przygotowane z drobiazgową starannością. Zasadę to poważnego kapelmistrza Louis Fourrestiera i doskonałego kierownika chóru Félicia Raugela, jak również wszystkich sumiennych wykonawców, z Ida Rubinstein (Joanna), Jeanem Hervé (Dominikanin) i Suzanne Delmas (głos Matki Boskiej) należało.

MICHAŁ KONDRACKI.